



Z WAMI WOLNOŚĆ O WOJNIE I Z WOJNY

REDAKCJA
Jakub Olchowski




Z WAMI WOLNOŚĆ

Z WAMI WOLNOŚĆ



O WOJNIE I Z WOJNY

REDAKCJA
Jakub Olchowski

Instytut
Europy Środkowej 
Lublin 2023

*Walczcie przeto – a zwalczycie!
Bóg o was pamięta:
Z wami siła, z wami wolność,
Z wami prawda święta!*

Fragment poematu „Kaukaz” Tarasa Szewczenki,
w tłumaczeniu Bogdana Żyranika

Projekt okładki i skład	Amadeusz Targoński www.targonski.pl
Copyright	Instytut Europy Środkowej
ISBN	978-83-67678-10-0
Wydawca	Instytut Europy Środkowej ul. Niecała 5 20-080 Lublin www.ies.lublin.pl
Druk	Drukarnia Akapit www.drukarniaakapit.pl



Spis treści

Jakub Olchowski Wstęp	9
Eliza Dzwonkiewicz Konsulat w cieniu wojny	13
Piotr Andrusieczko Okupacja	35
Mikołaj Susujew Wojna obronna po rosyjsku	61
Paweł Bobołowicz O polskiej pomocy dla walczącej Ukrainy	79
Marcin Ogdowski Kulisy (nie)zwycięzania	93
Informacja o autorach	119



Jakub Olchowski

Wstęp

Trwająca od niemal dekady agresja Rosji przeciw Ukrainie w lutym 2022 roku przekształciła się w brutalną wojnę, jakiej nie było w Europie od dziesiątek lat i jaką znaleźliśmy właściwie już tylko z podręczników, książek, filmów i opowieści rodzinnych. Coraz zresztą mniej się tym przejmując w miarę upływu czasu i odchodzenia pokoleń, które doświadczyły dramatu wojny.

Niemniej każda wojna jest inna i także ta, której jesteśmy świadkami, która toczy się po sąsiedzku, ma swoją specyfikę. Nie chodzi tu bowiem o interesy dynastyczne, religię, opanowanie szlaków handlowych, zdobycie zasobów w postaci ziemi, niewolników, bydła, złota czy ropy, jak to często w historii bywało. Celem tej agresji jest w istocie likwidacja tożsamości ukraińskiej – państwowej, narodowej i kulturowej. Oraz, niejako przy okazji, zastraszenie Zachodu i reszty świata w imię neoimperialnych ambicji i mitologii. Można nieco ironicznie zauważyć w tym kontekście, że akurat w przypadku Rosji nie jest to jakimś nadzwyczajnym *novum*.

Bez wątpienia jednak wojna ta będzie przez długie lata, niezależnie od tego, kiedy i jak się skończy, analizowana i opisywana z różnych perspektyw. Niniejsza publikacja będzie zatem jednym z bardzo wielu wydań na ten temat. Co jednak trzeba podkreślić, autorzy zamieszczonych tu tekstów to wybitni eksperci, znawcy Ukrainy, Rosji – i wojny. Wywodzą się z różnych środowisk zawodowych, mają różne doświadczenia, różne poglądy i wrażliwość, patrzą z różnych perspektyw. Ale chyba to właśnie czyni ten tom szczególnie wartościowym.

Eliza Dzwonkiewicz pisze o tym, jakie lęki i obawy towarzyszyły nie tylko mieszkańcom Ukrainy, ale i personelowi dyplomatycznemu w dniach bezpośrednio poprzedzających inwazję oraz w początkowym okresie wojny. O tym, jak mimo wojennego chaosu i strachu bardzo wielu ludzi poświęciło się ratowaniu innych i udzielaniu im pomocy w każdy możliwy (albo i niemożliwy) sposób. O tym, jak skomplikowane i nieprzewidywalne bywają ludzkie losy w wojennej zawierusze.

Piotr Andrusieczko, w trakcie swych niezliczonych reporterskich podróży po Ukrainie, rozmawiał z wieloma ludźmi, także tymi, którzy mieli nieszczęście zaznać rosyjskiej okupacji na tych obszarach Ukrainy, które zajęła rosyjska armia. Relacje tych ludzi to brutalne i wstrząsające świadectwo rosyjskich zbrodni, a jednocześnie dowód na to, że lansowane przez prorosyjską propagandę „zrównywanie” działań Rosji i Zachodu jest haniebną manipulacją.

Mikołaj Susujew tłumaczy przyczyny tej agresji i wojny, tak często nierozumiane bądź błędnie interpretowane. Nietrudno ich zresztą nie rozumieć, jeśli nie ma się wiedzy na temat mentalności, mitologii i ambicji Rosji, uzupełnianych spiskową teorią dziejów, wedle której to nie Rosja jest czemukolwiek winna, ale wrogie jej siły zewnętrzne. Kiedy ma się tego świadomość, łatwiej pojąć, dlaczego wedle Rosjan to nie Rosja napadła Ukrainę, a Ukraina Rosję, w dodatku ta sama Ukraina, która właściwie nie istnieje.

Paweł Bobołowicz pisze o pomocy ze strony Polski i Polaków, jakiej udzielono Ukrainie i Ukraińcom, zarówno w pierwszych dniach po

inwazji, jak i potem. To historii wielu instytucji, a przede wszystkim wielu ludzi, którzy nie zważając na przeszkody i niebezpieczeństwo, zaangażowali się w pomoc. Tym bardziej cenne to historie, że w ferworze wojennych wydarzeń nie były dokumentowane i opisywane, zagubiłyby się zatem w odmętach dziejów i ludzkiej pamięci – ale znalazł się ktoś, kto je utrwalił.

Marcin Ogdowski analizuje, tyleż kompetentnie, co z ironią typową dla rasowego korespondenta wojennego, jak to się stało, że Rosjanie bardzo się przeliczyli, planując swoją, mającą się szybko zakończyć, „specjalną operację wojskową” – której jednak „druga armia świata” od półtora już roku nie jest w stanie skończyć i sama już nie wie, co właściwie ma być uznane za zwycięstwo. Autor przygląda się też siłom zbrojnym Ukrainy i ich ewolucji po 2014 roku, zaangażowaniu militarnemu Zachodu i uwarunkowaniom tego zaangażowania, a także stara się nakreślić perspektywy rozwoju działań wojennych. Ci, którzy szczególnie interesują się stroną militarną tej wojny, będą specjalnie usatysfakcjonowani.

Mając na uwadze, że wojna zmieni Ukrainę (i zapewne Rosję, choć trudno w tej chwili prognozować jak bardzo), warto też zdawać sobie sprawę, że wpłynie także na nas. Niech ta refleksja towarzyszy lekturze.

Lublin, lipiec 2023 roku



Eliza Dzwonkiewicz

Konsulat w cieniu wojny

Kasia

– Jak myślisz, będzie coś? – pytała mnie koleżanka Katarzyna, konsul generalna z Odessy.

– Tak, myślę, że tak – odpowiedziałam. U Ciebie na pewno. Putin będzie chciał odciąć ostatecznie Ukrainę od morza.

– Hmm...

– Po coś przecież gromadzi to wojsko przy granicy... To już nie są tylko manewry... Zresztą Amerykanie też ostrzegają – kontynuowałam.

– I ja myślę, że coś będzie... – odpowiedziała Kasia po dłuższym namyśle.

Pamiętam tę naszą grudniową rozmowę. Potem czas bardzo przyspieszył, coraz więcej faktów wskazywało na to, co zdawało się już nieuniknione. Z każdym dniem nasze rozmowy były coraz mniej retoryczne. W końcu zaczęłyśmy wymieniać się już tylko informacjami odnośnie do poleceń nadchodzących mailowo z centrali MSZ:

– Odczytałaś depezę?

– Tak – odpowiadałam, czując narastające napięcie wraz z mnożącymi się poleceniami z Warszawy.

Odessa i Charków rozpoczęły przygotowania do ewakuacji w tym samym czasie, kilka dni przed wybuchem wojny. Polecenia szybko się zmieniały, nowe wiadomości przychodziły praktycznie codziennie. Brakowało czasu, by jednocześnie zabezpieczać dokumenty, majątek i sprzęt konsularny i... czytać nadchodzące szyfrogramy. Jeszcze rano 23 lutego obowiązywała informacja, że konsulat w Charkowie powinien wyjechać w ciągu dwunastu godzin, niedługo potem, że w ciągu trzech, a za chwilę, że już natychmiast. Zagrożenie rosło z minuty na minutę, decyzje trzeba było podejmować szybko. W tych dniach Kasia dzwoniła do mnie często. Chyba dzięki temu miała poczucie, że nie jest sama, było jej ze mną – mimo że tylko telefonicznie – raźniej. Pamiętam, że wciąż myślałam o niej, że jest bardzo dzielna. Odessa mogła być przecież jednym z pierwszych celów ataku Rosji. Kasia miesiąc wcześniej wywozła synka do rodziców w Polsce. Nie panikowała, była zmobilizowana, działała. Czasem się wkurzała na coś. Dzięki temu, że Odessa przygotowywała się do ewakuacji wcześniej, miałam wyobrażenie o tym, co może mnie czekać wkrótce.

Gdy na południowym wschodzie Ukrainy było już gorąco i większość pracowników konsulatu wyjechała, a ostatni czekali na rozkaz odwrotu, zobaczyliśmy we Lwowie czarne kłęby dymu unoszące się od strony Łyczakowa – dzielnicy, w której nie tylko położona jest jedna z najpiękniejszych polskich nekropolii za granicą, ale w której też naprzeciw cmentarza zlokalizowany jest rosyjski konsulat generalny. Od wielu lat, w związku z agresywną polityką Rosji wobec Ukrainy, konsulat „wisił w społecznym i politycznym niebycie”. Personel urzędu był ograniczony do minimum, nigdzie nie był zapraszany ani oczekiwany. Czarny dym z tamtej strony, i wkrótce całe miasto wiedziało, że to ruscy niszczą swoją dokumentację, wrzucając tajne papiery do beczek wypełnionych ropą... Ten złowieszczy znak roznosił się nad miastem, zapowiadając najgorsze.

Po raz kolejny w krótkim czasie zebrałam swoich najbliższych współpracowników i poprosiłam o szczerą odpowiedź:

– Kto ze mną zostanie, gdy będzie sygnał do częściowej ewakuacji?

Upowiedziałam, że do nikogo nie będę miała pretensji, jeśli podejmie decyzję o wyjeździe. Powiedziałam, że ja zostanę tak długo, jak się tylko da. Użyłam nawet dość banalnej frazy, że „kapitan schodzi ze statku ostatni” i będę chciała wytrwać jak najdłużej. Wiedziałam, że gram *va banque*, że mogę od osób pełniących kluczowe funkcje usłyszeć: ja wyjeżdżam. Zapadła pełna napięcia cisza... Pierwszy odezwał się Mikołaj, który powiedział: „Elizo – ja ci pomogę, zostanę, ile będzie trzeba”.

Prawie jednocześnie to samo powiedział Krzysiek, potem wszyscy kolejni już lżej, bez napięcia, nie zastanawiając się długo, deklarowali: „ja zostaję”, „ja zostaję”, „ja zostaję”.

– Dziękuję – odpowiedziałam i zrozumiałam, że mam wielkie szczęście do ludzi. Spośród tych wszystkich, którzy wtedy zdecydowali się zostać, jedna osoba zmieniła później zdanie. Po prostu powiedziała: „nie dam rady – boję się”. Spakowała swoje rzeczy i wyjechała. Jeszcze dwie inne osoby w krótkim czasie sama odesłałam, biorąc pod uwagę ich wiek, zdrowie, odporność psychiczną. Ścisłe kierownictwo placówki pozostało. Danuta wzięła na siebie obowiązki tej, która nagle wyjechała... Moi ludzie od tego czasu pracowali jak w transie. Sami zgłaszali się do pracy, brali na siebie odpowiedzialność, nie spali, nie kłócili się, robili, co mogli, by być potrzebnymi. Od 24 lutego zamieszkaliśmy w konsulacie. Wydawało nam się, że jest tam bezpieczniej i co najważniejsze – działał internet. W mieście i w domach z siecią było różnie, przeważnie nie można się było dodzwonić, szczególnie na początku. Wstawiliśmy do wszystkich pokoiw tapczany przeniesione z części hotelowej, dokupiliśmy – jakimś cudem i dzięki zaangażowaniu Grażyny – dodatkowe materace. Rano mijaliśmy się w konsularnych korytarzach w klapkach, piżamach, szlafrokach. To było nawet zabawne. Ja również pierwsze trzy noce spędziłam razem z innymi, w sekretariacie, który zamienił się w pokój nocny. Potem

już na kolejne noce wracałam do domu, kładłam się na 2-3 godziny do swojego łóżka, brałam prysznic, doglądałam kota, by rano znów wrócić do pracy. Z administracji obwodowej dostaliśmy przepustki uprawniające nas do poruszania się po mieście w czasie godziny policyjnej. Podczas przejazdu z pracy do domu, pokonując dość krótki odcinek niespełna dwóch kilometrów, bywałam zatrzymywana przez 2-3 patrole policji lub wojska. Sprawdzanie dokumentów było bardzo dokładne i wnikliwe. Wtedy na ulicy każdy był podejrzany, każdy potencjalnie mógł być dywersantem. W pracy funkcjonowała samo-pomoc. Dzieliliśmy się ze sobą jazdą, pani Jadwiga i Grażynka organizowały ciepłe posiłki, przynosząc wielkie słoje ugotowanej przez znaną w środowisku Polkę – lwowiankę.

Rosjanie pod Kijowem

Wcześniej jednak wydarzył się 24 lutego. Ten dzień każdy z nas, obecnych wtedy na Ukrainie, zapamięta po swojemu, ale z pewnością do końca życia. W Polsce przypadał wtedy tłusty czwartek. Wysłałam naszego kierowcę Darka po zamówione wcześniej pączki do Przemyśla. Przywoziliśmy pączki, którymi obdarowywaliśmy później naszych ukraińskich partnerów, zapoznając ich z polską tradycją. W tym roku miało być tak samo. Darek wyjechał w kierunku granicy o świcie. Usłyszał w radiu o ataku. Dochodziła piąta. Zadzwoił do mnie i powiedział: „Zaczęło się... – ruscy zaatakowali Kijów. Są na Ukrainie. Co mam robić?”.

– Wracaj szybko – odpowiedziałam.

Zaczęłam się pospiesznie szykować do wyjścia. Od pewnego czasu, zgodnie z zasadami przewidzianymi na takie sytuacje, każdy z nas miał spakowane najpotrzebniejsze rzeczy. Mała torba sportowa była gotowa do zabrania. Jednak nieznaną przyszłość spowalniała moje ruchy. Wydawało mi się, że koniecznie muszę umyć włosy, bo być może nieprędko będę miała następną okazję... Że muszę zostawić kotu więcej niż zwykle

jedzenia, bo nie wiem, kiedy do niego wrócę. Że trzeba wyrzucić śmieci, by się nie zepsuły itd. Chciałam wszystko zabezpieczyć, przewidzieć. Wiem, że faktycznie nie trwało to długo, ale myślałam, że nigdy nie wyjdę z domu. Wciąż dzwonił telefon...

W pracy wszyscy zesłaliśmy się w podobnym czasie. Na twarzach każdego z nas malowało się niedowierzanie i pytanie o przyszłość. Sztab kryzysowy mieliśmy powołany już wcześniej, szybko ustalaliśmy dalsze kroki. Decyzje podejmowałam automatycznie. Udało się uniknąć chaosu. Niestety okazało się, że nasz informatyk zachorował na COVID, a miał pojechać do Łucka, by zabezpieczyć to, co się da, w budynku ewakuowanego konsulatu. Mimo choroby podjął decyzję, że pojedzie. Był sam, bo inni byli zajęci ewakuacją naszych obywateli. Miał wysoką gorączkę, źle się czuł. Martwiłam się o niego. Wyjechał rano, cały dzień pracował w Łucku, w nocy wyjechał z powrotem w kierunku Lwowa. Było zupełnie ciemno. Ze względów bezpieczeństwa wszystkie miasta, wsie i drogi pozbawione były oświetlenia, by nie ułatwiać wrogowi namierzania celów. W pierwszych miesiącach wojny wszyscy mieszkańcy Ukrainy mieli obowiązek wyłączać światło po zmroku i korzystać z oświetlenia tylko w razie konieczności. Ludzie byli w tym zakresie bardzo zdyscyplinowani. Wszędzie było więc ciemno. Zmęczenie i choroba dawały się we znaki naszemu koledze. Nagle wśród ciemności na jego drodze pojawiły się wielkie czarne bryły, jeszcze ciemniejsze od otaczającej nocy. Uświadomił sobie, że jedzie na czołowe zderzenie z nieoświetloną kolumną czołgów. O mały włos, a zostałby zmiądzony, cudem, w ostatniej chwili zdołał ominąć przeszkodę. Resztę drogi pokonał już na takiej adrenalinie, że i choroba nagle się cofnęła...

Ewakuacje

Naszym podstawowym obowiązkiem, wręcz powinnością, była organizacja ewakuacji obywateli polskich oraz posiadaczy Karty Polaka.

Byliśmy do tego zadania przygotowani. Zgodnie z wytycznymi odpowiednio wcześniej zaktualizowaliśmy nasze kontakty do lwowskich firm świadczących usługi transportu osób, mieliśmy też wieloletnie doświadczenia we współpracy z konkretnymi przewoźnikami. Dysponowaliśmy również gotówką – czyli byliśmy wypłacalni. Mogliśmy się rozliczać od razu po wykonanej usłudze, co w tym czasie było rzadkością, ponieważ system bankowy po wybuchu wojny został zablokowany. Nie można było dokonywać wypłat walutowych, przestały pracować kantory.

Natychmiast uruchomiliśmy zapisy na wyjazdy do Polski. Wkrótce zapisy były prowadzone równolegle przez naszych pracowników i przez centrum koordynacyjne w Warszawie. Chaos był ogromny, ponieważ ludzie w popłochu zapisywali się wszędzie, zgłaszali siebie, krewnych i sąsiadów, nawet nie pytając ich o zdanie. Wielu potem zmieniało decyzje. Dlatego zawsze, mimo że listy były pełne, potem zostawały wolne miejsca w autobusach, tzn. ostatecznie jednak nie pozostawały wolne, ponieważ korzystali z nich ludzie, którzy gromadzili się spontanicznie przed konsulem, bez zapisu. Głównym koordynatorem pierwszej i kolejnych ewakuacji był Mikołaj, czasem na zmianę z Rafałem, który się potem „wyspecjalizował” w organizacji transportów ewakuacyjnych dzieci onkologicznie chorych.

Wywoziliśmy ludzi z Ukrainy autokarami. W tym samym czasie na dworcu głównym inni ludzie, przeważnie przyjeżdżający z głębi Ukrainy, tłoczyli się w wielotysięcznych grupach, czekając na jakąkolwiek okazję udania się w kierunku granicy. Dojazdy do przejść były zablokowane.auta mieszały się z powoli przesuającą się masą ludzką. Dorośli ciągnęli dzieci, walizki, zwierzaki. Przesuwali się z ogromną determinacją naprzód i nikt, zupełnie nikt, się nie uśmiechał. Smutek, rozpacz i jakby wewnątrz głoś nakazywały wszystkim przeć do przodu. Bywało też bardzo nerwowo. Kolejki ciągnęły się przez dziesiątki kilometrów. Prawdziwa apokalipsa. Dlatego każdy wyjazd w stronę granicy był ogromnym wyzwaniem. Mimo że dystans, który należało pokonać, nie przekraczał 80 kilometrów, taka wyprawa zajmowała cały dzień.

W pierwszych tygodniach wojny, jak grzyby po deszczu, wyrastały coraz to nowe blockposty. Strażnikami tych punktów kontrolnych byli przede wszystkim samozwańczy obrońcy ojczyzny, którzy zdobyli gdzieś taką czy inną broń i pilnowali przejazdu.

Początkowo wydawało nam się, że auto służbowe z naklejką CD będzie mogło swobodnie jeździć tu i tam. Szybko zorientowaliśmy się jednak, że nasze przywileje przestały obowiązywać. Na jednym z punktów kontrolnych nakazano nam otworzyć bagażnik. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Byliśmy świadomi, że żądanie nie było skierowane przez oficjalnego przedstawiciela ukraińskiej władzy. Mężczyzna miał ogorzałą twarz, broń w ręku, odzież udawała wojskową. Konsul, który mi wtedy towarzyszył, dość hardo odpowiedział, że nie mamy obowiązku tego robić, że jesteśmy dyplomatami. W tym momencie wycelowano w nas broń. „Otwierać” – usłyszeliśmy. Zdenerwowałam się wtedy na mojego kolegę. Powiedziałam mu, by przestał się wygłupiać. Było naprawdę nerwowo. Strażnik nie żartował. Kilka dni później usłyszałam historię pewnej kobiety, która gdzieś w okolicach Równego nie zatrzymała się do kontroli na takim „obywatelskim” blockpoście. Została postrzelona w brzuch i w dłoń.

Mimo to byliśmy jednak uprzywilejowani. Zawsze gdy oficjalnie o coś występowaliśmy – otrzymywaliśmy to. Przepustki, towarzyszenie policji patrolowej, wzmocniona ochrona konsulatu. Ukraińcy wychodzili naprzeciw naszym oczekiwaniom.

Organizowaliśmy kolejne transporty ewakuacyjne. Mniej więcej co dwa, trzy dni z okolic konsulatu wyjeżdżała kolumna złożona z autobusów i aut prywatnych. Czasem dochodziła do dwudziestu pojazdów. Każdą kolumnę otwierał i zamykał samochód policyjny jadący na sygnałach. Tylko dzięki temu udawało się ostatecznie, choć nie bez nerwów, doprowadzać każdorazowo długą wstęgę pojazdów aż do granicy. Czasem ta wstęga się rozrywała, bo większość z kierowców nie miała doświadczenia w jeździe zderzak w zderzak, zatrzymywali się na skrzyżowaniach, nie rozumiejąc, że stanowią jakby jedno ciało, które musi poruszać się płynnie. Trzeba było czekać, ponaglać, szukać.

Bardzo wzruszające sceny rozgrywały się też przed autokarami, które odwoziły ewakuowane osoby w stronę granicy. Bliscy, przeważnie mężczyźni, odprowadzali swoje kobiety i dzieci, tulili je długo i mocno, nie wiedząc, kiedy znów się spotkają. Bo większość z nich czekała służba wojenna w armii. Był ogrom łez i nieszczęścia. W tym smutku pożegnania najgorsza była niepewność jutra. Nigdy nie zapomnę jednego z urzędników ukraińskich, który powierzył nam pod opiekę swoją żonę i maleńkie dzieci. Uklęknął przede mną i chciał ucałować moje ręce. „Dziękuję – nigdy pani tego nie zapomnę” – usłyszałam. Skurcz wzruszenia ścisnął mi gardło. Staraliśmy się pomagać wszystkim, którzy o to prosili. Nie miało znaczenia, kto był jakiej narodowości. Oczywiście w pierwszej kolejności byli Polacy, ale zawsze wystarczało miejsca dla innych. Raz tylko odmówiłam. Sekretarka powiedziała, że dzwonią jacyś Rosjanie, którzy do wybuchu wojny wypoczywali w sanatorium w Truskawcu. Teraz nie mieli jak się wydostać z Ukrainy i wrócić do siebie.

– Czy możemy ich wziąć?

– Nie – odpowiedziałam.

– Ale dlaczego? Oni nie są winni. Po prostu wypoczywali w sanatorium, byli na kuracji.

– Nie – odpowiedziałam po raz drugi.

Nie umiałam sobie wyobrazić, że niesiemy pomoc przedstawicielom narodu, który wyhodował tę straszną bestię – Putina. NIE, nie i jeszcze raz nie. Sekretarka patrzyła na mnie, po raz pierwszy chyba bez sympatii. Nie mogła tego zrozumieć. Urodzona i wychowana we Lwowie, przez całe swoje życie stykała się z Rosjanami. Nie czuła do nich urazy.

Ewakuacja dzieci chorych onkologicznie

Ktoregoś dnia zadzwonił do mnie telefon. Usłyszałam: Dzień dobry, z tej strony Paweł Kukiz... Nie ten Kukiz, choć to mój krewny. Paweł Kukiz-Szczuczyński. Jestem lekarzem. Współpracuję ze szpitalem

dziecięcym przy ulicy Dnisterskiej. Będziemy pomagać wywozić chore dzieci z Ukrainy. Obecnie znajdują się one już we Lwowie, zostały tu przewiezione z Kijowa i innych miast, które są zagrożone. Czy zechce się pani z nami spotkać?

Tak rozpoczęła się współpraca, dzięki której udało się wspólnie zorganizować siedem tur ewakuacyjnych dzieci chorych na nowotwory. Lekarze z Polski i Ukrainy zajmowali się typowaniem chorych do transportu. Pan Paweł Kukiz-Szczuczyński był w kontakcie ze szpitalami w Polsce, które deklarowały możliwość przyjęcia chorego dziecka. Konsulat zabezpieczał logistykę dojazdu do granicy, organizował wsparcie policji patrolowej oraz straży granicznej. I znów, podobnie jak przy ewakuacjach obywateli, tworzyły się tasiemce, czyli rozciągnięte kolumny złożone z wielu pojazdów. Znów trzeba było jechać odpowiednio szybko, ale też nie za szybko, aby nie dopuścić do rozłączenia się kolumny. Znów kluczową rolę odgrywała policja patrolowa ze Lwowa, która nigdy nas nie zawiodła. Autobusami, w ramionach swoich opiekunów, transportowane były dzieci czekające na ratunek w Polsce. Wszystkie bardzo spokojne, patrzyły w okna lub leżały wtulone w swoich bliskich. Wraz z nimi jechała część ich rodzinnego dobytku – nikt bowiem nie wiedział, ile czasu będzie trwała ta podróż po życie... Po przejeździe przez granicę dzieci były rozsyłane karetkami do różnych szpitali na terenie całego kraju. Bardzo ważnym i trudnym momentem był sam przejazd przez granicę. Zdarzało się, że za opiekunów podawali się ci, którzy nie mogli z różnych względów opuścić terytorium Ukrainy. Czasem takie sytuacje niepotrzebnie opóźniały odprawę. Bywało gorączkowo, ale ostatecznie zawsze dość sprawnie. Organizacyjnie z naszej strony spinał wszystko konsul Rafał, każdorazowo ktoś jeszcze mu pomagał, ale to on był odpowiedzialny za całość. Towarzyszyło temu dużo emocji. Często przyjeżdżałam na miejsce zbiórki, pod szpital, by zobaczyć, czy wszystko idzie sprawnie. Wprowadzanie dzieci i opiekunów do autokarów, nadzór lekarski, ustawianie w kolejności samochodów... Każdorazowo trwało to około dwóch godzin. Czekałam,

aż uformuje się kolumna, a gdy odjeżdżała spod szpitala, ja wracałam do konsulatu. W tym czasie zauważyliśmy, że Rafał, który niespokojnie krążył między autami, zabawnie pochylał swoje długie ciało do przodu, stawiał szybkie kroki i wychylał ręce za siebie. Był wówczas nieco podobny do pingwina poruszającego się do przodu. Nazwaliśmy ten syndrom zdenerwowania Rafała „krokiem Kocota” od jego nazwiska. Nie naśmiewaliśmy się z niego złośliwie, tylko z wdzięcznością i sympatią. Robił świetną robotę.

Ewakuacje dzieci były dla nas ważnym doświadczeniem, dawały nam poczucie sensu naszej pracy i obecności we Lwowie.

Nie ma rzeczy niemożliwych

Na początku wojny wciąż pojawiały się nagłe potrzeby wynikające z jakichś braków. Najpierw brakowało paliwa. Na stacjach benzynowych tworzyły się gigantyczne kolejki, ludzie stali od świtu do nocy, by zatankować choćby 10 litrów paliwa, które było centralnie reglamentowane. Czasem udawało się przejechać z jednej stacji do drugiej i zatankować w sumie 20 litrów. Nasi kierowcy szybko zorientowali się, gdzie są jakie możliwości, krążyli po mieście w celu zdobycia kolejnych litrów. Co prawda mieliśmy jeszcze zapasy zrobione przed wybuchem wojny, ale nie chcieliśmy się ich wyzbywać. Paliwa całkowicie brakowało. Wszystko szło na front. Pewnego razu zwrócili się do mnie przedstawiciele obwodowej administracji z prośbą o pomoc w zorganizowaniu 80 ton paliwa. Było im ono potrzebne, by móc każdego dnia wysyłać kolejne tiry z pomocą humanitarną w głąb kraju. Nie mieli czym napełniać baków tych wielkich samochodów. Pomogły szybko dwie instytucje – Orlen i RARS [Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych – przyp. red.]. Innym wyzwaniem była mąka. Pani mer Mościsk – miasteczka położonego nieopodal przejścia granicznego Szeginie-Medyka, poprosiła o 100 ton mąki, która była potrzebna miejscowym piekarniom do wypieku chleba dla przybywających wciąż nowych

uchodźców. Władze miasta rozdawały darmowe pieczywo wszystkim oczekującym na przekroczenie granicy. Znów w krótkim czasie udało się odpowiedzieć na prośbę. Za pierwszym razem mąkę dostarczyła RARS, a następnym razem Marszałek Województwa Podkarpackiego. Mąkę, na naszą prośbę, zorganizowała również pani marszałek Małgorzata Gosiewska. Potem podobna sytuacja była z masłem. W tym czasie wszystko się udawało. Każdą sprawę załatwialiśmy w terminie do trzech dni. Nie było rzeczy niemożliwych. Pomogliśmy również lwowskiemu Caritasowi – dzięki nam dostali trzy busy, którymi mogli później rozwozić pomoc. Potem Caritas stał się partnerem RARS. Ksiądz Wiesław Dorosz – dyrektor lwowskiego Caritasu, z którym „można konie kraść”, zorganizował ukraińskich kierowców, którzy prowadzili podarowane przez RARS wojskowe ciężarówki. Plandeki tych samochodów były wykonane na specjalne zamówienie, miały czerwony kolor, a na nim polskie godło i napis: #PolandFirstToHelp #PolskaPomoc #PolishAid. Ciężarówki te, zwane przez księdza Dorosza pieśczośliwie „żabkami”, kursowały po całej Ukrainie, dostarczając pomoc z Polski. Dojeżdżały tam, gdzie inni bali się jechać. Widywałam je często służbowo, a czasem przypadkiem gdzieś w drodze. Byłam bardzo dumna, patrząc na nie. Biały orzeł na czerwonym tle jako znak solidarności z walczącą Ukrainą wywoływał wzruszenie. Raz nawet pojechałam tym samochodem wraz z księdzem zawieźć pomoc osobom wewnątrz przesiadłym do Iwano-Frankiwska. W kabinie ciężarówki, nad głową kierowcy znajduje się półka, na której można się położyć i odpocząć. Skorzystałam z tej możliwości. Zasnęłam kamiennym snem po wielu nieprzespanych nocach.

Ten czas był wyjątkowy i pozostanie niezapomniany. Kilka telefonów, próśb, pism, koordynacja i wszystko udawało się załatwić. Żyliśmy na adrenalinie, nie potrzebowaliśmy prawie snu, nie mieliśmy oporów, aby – jeśli sprawa tego wymagała – dzwonić do ważnych osób w środku nocy. Biskup, minister, dyrektor – każdy mógł spodziewać się telefonu. Nikt nie odrzucał połączeń. Wciąż się naradzaliśmy, wyznaczaliśmy

sobie nowe zadania. Myślę, że nasza wydajność była wtedy na ultrawysokim poziomie. Na najwyższym, na jaki było nas stać.

Polscy parlamentarzyści na granicy

Staliśmy, naszymi najważniejszymi partnerami, z którymi współpracowaliśmy na co dzień, były na Ukrainie: Obwodowa (zamieniona czasowo na Wojskową) Administracja Państwowa, Kuria Rzymskokatolicka, Caritas Lwów. W Polsce: Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych, centrala MSZ – głównie Biuro Administracji i Biuro Inwestycji, Caritas w Przemysłu i w Lubaczowie, Województwo Podkarpackie oraz dodatkowo spółki skarbu państwa: Orlen, Totalizator Sportowy (Fundacja Lotto), kilku polityków i oczywiście kilka lub kilkanaście pojedynczych podmiotów prywatnych, z którymi nawiązaliśmy współpracę, realizując konkretne zadania. Nasze samochody regularnie kursowały między przygraniczną Polską a Ukrainą, załatwiając różne formalności, ważne dla pracy urzędu. Każdorazowo zaglądaliśmy do magazynu Caritasu w Lubaczowie i odbieraliśmy stamtąd pomoc humanitarną, taką, jaka akurat znajdowała się na składzie.

Pewnego razu nasz kierowca Darek wraz z konsulem Rafałem wracali do Lwowa samochodem wypełnionym po brzegi artykułami odebranymi z Lubaczowa. Gdy byli już po stronie ukraińskiej, zatrzymali się obok kolejki uchodźców i zobaczyli wśród nich małe, zmęczone dzieci. Jedna z dziewczynek bardzo płakała. Nie było sposobu, by ją uspokoić. Moi pracownicy mieli ze sobą kanapki, którymi poczęstowali mamę płaczącej dziewczynki. Kobieta próbowała dać dziecku jedzenie, ale dziewczynka jeszcze bardziej płakała. Darek i Rafał przypomnieli sobie, że wśród darów odebranych z Caritasu znajdują się musy jabłkowe i maskotki dla dzieci. Podarowali dziewczynce misia i deser owocowy. Okazało się, że to było to! Dziecko się uspokoiło, a nawet zaczęło się uśmiechać. Potem pluszowe zabawki i owocowe przekąski powędrowały do innych dzieci z tej samej kolejki. I nagle w tłumie uchodźców

zapanowało nietypowe w tamtych dniach, radosne ożywienie. A moi współpracownicy – dorośli mężczyźni, popłakali się. Wyobrazili sobie, że w tej kolejce są również ich dzieci, ich małe córeczki. Nie byli w stanie zapanować nad emocjami.

Następnego dnia zadzwonił do mnie minister Michał Dworczyk, który od pierwszych dni był chyba najbardziej zaangażowanym w pomoc dla Ukrainy politykiem. Opowiedziałam mu o tym zdarzeniu z granicy. „Maskotki i musy owocowe to jest to, czego potrzebują udręczone dzieci” – wyjaśniałam.

Niespełna dobę później na przejście graniczne w Medyce podjechali kilkoma busami parlamentarzyści wszystkich sił politycznych. Ich samochody wypełnione były pluszowymi zabawkami i musami owocowymi. Minister wyjaśnił mi pospiesznie, że postanowił zebrać posłów i zawieźć ich na granicę, bo ma dość czczych rozmów w sejmie, debat i zgłaszanych wątpliwości. Trzeba rozwiązać ten kryzys humanitarny działaniami na poziomie państwa polskiego i ukraińskiego.

– Niech zobaczą, jak tutaj jest, może wtedy łatwiej im będzie zrozumieć. Przyjeźdź też, dobrze będzie, jeśli będą mogli poznać konsula ze Lwowa.

– OK – będę. O której?

– Bądź o 23 na granicy.

Pojechałam tam razem z ukraińskim kolegą odpowiedzialnym za stosunki międzynarodowe we lwowskiej administracji obwodowej. Zdziwiło nas, że dojechaliśmy szybko, bez przeszkód. Była już noc. Gdzieś zniknęły samochody, nie było zatorów, coś się stało z tymi ludźmi, którzy od wielu dni koczowali wzdłuż drogi. Stały już tylko pojedyncze auta. Dużo się zmieniło, ale starając się jak najszybciej dojechać do granicy, jeszcze nie rozumieliśmy, co się stało. W Szeginie już czekali polscy posłowie. Ubrani w zimowe, nieoficjalne stroje, w ciepłe kurtki, czapki, szaliki. Spotkaliśmy się z nimi przy samym przejściu granicznym po ukraińskiej stronie, przy namiotach, w których w ostatnim czasie nieustannie gotowano ciepłe posiłki dla zmarzniętych ludzi.

Teraz było tam pusto. Parlamentarzyści wysiadali z busów i pytali, gdzie są ci ludzie.

Nikt nie umiał odpowiedzieć na ich pytanie. Okazało się, że straż graniczna udroźniła przejście, uprościła czynności kontrolne, zwiększyła obsadę granicy. W ciągu ostatniej doby nie dojechali żadni nowi uchodźcy. Ci, którzy stali wcześniej w olbrzymich kolejkach, zdążyli już przejść do Polski. Wszystko to stało się w ciągu doby...

To było straszne uczucie. Tyle dni cierpienia, marznięcia, czekania, gwałtownych emocji... i nagle tego wszystkiego nie ma! Skończyło się. Polscy posłowie przyjechali zobaczyć na własne oczy ten dramat, a jego już nie ma! Patrzyli na granicę zdumieni i jakby rozczarowani. Nie było żadnych dzieci.

– Po co myśmy tu jechali? – wrywało się w końcu komuś to oczywiste pytanie...

To taki paradoks, że my, którzy przyjechaliśmy ze Lwowa i minister Dworczyk, zamiast się cieszyć, że nikt już nie cierpi, czuliśmy się jeszcze bardziej oszukani niż przybyli z Warszawy politycy. Nie umieliśmy się cieszyć pozytywną zmianą na granicy. Absurd tej bezsensownej sytuacji, chichot losu, zażenowanie bardzo nas przygnębiły.

Ta wojna tak właśnie wygląda. Jak w kalejdoskopie, wszystko się zmienia. Jednego dnia nie ma soli, ludzie się mobilizują, organizują transport tej przyprawy, a nazajutrz okazuje się, że sól jest już wszędzie. Nie ma prądu, załatwiasz agregaty, piece, akumulatory – za chwilę już nie są potrzebne... Jest ich tak dużo, że nie wiesz komu dawać, a prąd – którego nie było kilka tygodni, znów płynie nieprzerwanym strumieniem do wszystkich mieszkań. Czasem jakiś temat, sytuacja wraca, ale nigdy nie można przewidzieć, kiedy i w jakich okolicznościach.

Ten wieczór na granicy zapamiętam na zawsze. Tak mi było szkoda straconej szansy na doświadczenie przez polityków tych emocji, które nam towarzyszyły od początku agresji. To był świetny pomysł, by pokazać przedstawicielom polskiego parlamentu reprezentującym

wszystkie frakcje polityczne, jak w praktyce wygląda „Russkij mir”. Niestety nie udało się.

Krzepiące w tej całej historii było to, że przyjęte przez obydwie państwa rozwiązania umożliwiające uproszczoną kontrolę graniczną w warunkach humanitarnych po polskiej stronie pozwoliły w przyszłości znacznie ograniczyć kolejki uchodźców, a tym samym zapobiec niebezpieczeństwu kryzysu humanitarnego.

Atak na poligon w Jaworowie

13 marca 2022 roku po raz pierwszy usłyszałam wybuchy we Lwowie. Wcześniej wciąż rozważałam w myślach, co będzie, gdy ruscy zaatakują to miasto. Myślałam obsesyjnie: tyle lat historii! Tyle przepięknych budowli, kościołów, kamienic, ulic! To po prostu nie może się zdarzyć! Ale myślałam o tym, wciąż bojąc się dnia, w którym zobaczę zniszczony Lwów. Zawsze uważałam to miasto za najpiękniejsze, najciekawsze na świecie. Jestem urzeczona jego historią, architekturą i specyfiką. Wiem, że wiele osób myśli podobnie. To tylko potwierdza wyjątkowość tego miasta. Czuję się w nim jak mała dziewczynka w zaczarowanym ogrodzie – wędruję ulicami miasta i wciąż odkrywam coś nowego, coś zachwycającego. Na początku wojny było mi nawet wstyd, że częściej myślałam o losie miasta niż zwykłych ludzi. Co będzie, gdy spadną bomby na katedrę, na operę, na rynek?!!!

13 marca nad ranem obudził mnie dźwięk syren. Kilka minut później usłyszałam odgłos wybuchów. „Ta-dammm... ta-dam...” – docierało zza szyby. Nie miałam wątpliwości, że to odgłosy wrogiej, niosącej śmierć i zniszczenie amunicji. Oczywiście wyobraźni widziałam zranione, ukochane miejsca we Lwowie. Leżałam w łóżku nieruchomo. Poczułam, jak zdrętwiały mi usta. Nie czułam ich w ogóle. To był bardzo wyraźny objaw strachu, jakiego nigdy wcześniej nie odczuwałam. Nie byłam w stanie przez chwilę się poruszyć. Gdy dźwięki wybuchów ustały, wzięłam telefon i zaczęłam szukać informacji o tym, co się stało. Wtedy jeszcze

nie miałam zainstalowanych serwisów informacyjnych, które na bieżąco dostarczają wiadomości o tym, co się dzieje. Niecierpliwie szukałam danych. Dopiero około siódmej nad ranem przeczytałam, że rakiety uderzyły w poligon w Jaworowie. To ponad 50 km od Lwowa w kierunku polskiej granicy.

Znałam kilka osób, które tam pracowały w charakterze tłumaczy, w czasie gdy Jaworów był miejscem międzynarodowych ćwiczeń wojskowych. Spieszenie zadzwoniłam do koleżanki, niepokojąc się o los jej brata. Żyje??? – zapytałam. Tak... – odpowiedziała. Obie mówiłyśmy łamiącym się głosem.

Jaworów dla Lwowa i dla mnie był pierwszym wstrząsem wojennym. Byłam przerażona. Zginęło wówczas według oficjalnych danych co najmniej 35 osób, a ponad sto zostało rannych. Cały dzień przez miasto jeździły karetki pogotowia na sygnale. Dopiero później dowiedziałam się, że odgłosy wybuchów, które słyszałam w nocy, faktycznie były odgłosami zestrzeliwania przez obronę przeciwlotniczą rosyjskich rakiet lecących nad Lwowem. Jaworów jest za daleko, by można było usłyszeć eksplozje. Niemniej to wydarzenie było dla mnie „chrztem bojowym”. Wtedy po raz pierwszy, ale niestety nie po raz ostatni, słyszałam śmiertelne odgłosy wybuchających pocisków.

Rosyjskie fatum nad rodziną Pasternaków

25 kwietnia konsul Jacek Goćłowski, który do wybuchu wojny pracował w Wydziale Konsularnym przy Ambasadzie RP w Kijowie, będąc już w Polsce, ale utrzymując kontakt z Polakami z Kijowskiego Okręgu Konsularnego, napisał taką wiadomość:

„Z przykrością muszę poinformować, że kilkanaście minut temu dotarła do mnie informacja o śmierci p. Julii Pasternak – porucznika Zbrojnych Sił Ukrainy, posiadacza Karty Polaka, aktywnego członka Polskiego Centrum Kulturowego im. Karola Szymanowskiego w Czerkasach.

Zginęła, walcząc o niepodległą Ukrainę. Pani Julia osierociła dwójkę dzieci”.

Nie była to pierwsza informacja o obywatelach Ukrainy polskiego pochodzenia walczących w szeregach ukraińskiej armii, ale pierwsza o śmierci na polu walki. Uznaliśmy, że pogrzeb Julii Pasternak powinien mieć oficjalny charakter, a zmarłą należy pochować z należnymi honorami. Aby rozpocząć procedurę nadania odznaczenia, nawiązałam kontakt z odpowiednimi instytucjami w Polsce, ale też z prezesem polskiej organizacji w Czerkasach, panem Genadijem Liniewiczem, który był w kontakcie z rodziną zmarłej. Okazało się, że mama Julii – pani Walentyna Pasternak, na wieść o śmierci córki trafiła do szpitala. Udało mi się jednak z nią porozmawiać. Dowiedziałam się, że Julia była sanitariuszką. Jej oddział wpadł w pułapkę. Ośmiu chłopaków zginęło. Julia została śmiertelnie raniona przez snajpera, gdy czołgała się do rannego kolegi, aby mu pomóc. Niestety jej ciało pozostało po rosyjskiej stronie frontu, w obwodzie charkowskim. Z tego powodu nie można było zorganizować pogrzebu. Kilka tygodni trwały negocjacje dotyczące wydania ciała sanitariuszki, ale nie przyniosły oczekiwanego rezultatu.

Jakiś czas później zdecydowałam się pojechać na spotkanie z bliskimi poległej Julii. W domu rodzinnym, w miejscowości Kamianka (w obwodzie czerkaskim), czekali na mnie i mojego kolegę, Rafała Dzieciołowskiego – prezesa Fundacji Solidarności Międzynarodowej, rodzice Julii. Były też jej dzieci: 17-letnia Daryna i ośmioletni Oleksij. Chłopiec był zalękniony i zawstydzony. Nie chciał z nami rozmawiać. Babcia chłopca powiedziała nam, że i tak jest już lepiej. Początkowo bardzo zamknął się w sobie. Przestał mówić słowo „mama”. Potrzebna była pomoc psychologa. Natomiast córka Daryna, delikatna blondynka, studentka pielęgniarstwa, rozmawiała z nami chętnie i otwarcie. Pokazała nam film w telefonie, który przysłała jej mama trzy dni przed śmiercią. Zarejestrowana, bardzo osobista scena pokazywała moment zaręczyn Julii z lekarzem z tego samego oddziału. Widać było zawstydzoną, ubraną

w wojskowe ubranie młodą kobietę wraz z mężczyzną z pierścionkiem na wyciągniętej dłoni, proszącego ją o rękę. Scena rozgrywała się prawdopodobnie w jakichś koszarach wojskowych. W tle widać było i słysząc śmiejących się serdecznie i zachęcających Julię do powiedzenia „tak” kolegów z oddziału.

Okazało się, że oświadczyzny zostały przyjęte. Kilka dni później Julia Pasternak już nie żyła. Rosjanie przysłali rodzinie zdjęcia zmasakrowanego ciała. Jednym ze znaków rozpoznawczych, potwierdzających, że to ona, był pierścionek zaręczynowy na jej palcu.

Gdy Daryna ogląda ten filmik po raz kolejny, łzy obficie płyną jej po policzkach. Delikatnie dotyka palcami ekranu telefonu. Opowiada, że ten lekarz, który oświadczył się ich mamie, był bardzo dobrym człowiekiem. Po jej śmierci przyjechał do nich – obiecał, że się nimi zaopiekuje. Przysłał pieniądze na życie. Dla niej i młodszego brata było to bardzo ważne. Brakowało im ojca, bo ten biologiczny nie zajmował się nimi, zawodził.

Lekarz, narzeczony ich mamy, zginął kilka dni przed naszym przyjazdem. Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć, gdy dotarła do nas ta wiadomość. Przekazaliśmy rodzinie doraźną pomoc. Wzięliśmy dane niezbędne do przyznania stypendiów osieroconym dzieciom. Pani Walentyna Pasternak – mama Julii, opowiedziała nam historię swojej rodziny. Historię, która zatoczyła tragiczny krąg.

Dziadkowie pani Walentyny, czyli pradziadkowie Julii, byli ofiarami represji stalinowskich, tzw. operacji polskiej NKWD z lat 1937-1938. Dziadek został zamordowany przez komunistów. Babcia z małymi dziećmi była deportowana z Żytomierszczyzny do Kazachstanu. Po wielu latach zesłania, na początku lat 60. dostali zgodę na powrót do centralnej części ZSRR. W ten sposób trafili do Kamianki pod Czerkasami, gdzie ostatecznie się osiedlili.

W ciągu jednego stulecia członkowie tej samej rodziny zostali dwa razy skrajnie doświadczeni – raz przez Rosję bolszewicką, drugi raz przez Rosję Putina.

Julia Pasternak otrzymała Kartę Polaka w lutym 2022! Obie z mamą należały do Polskiego Centrum Kulturowego im. Karola Szymanowskiego. Były aktywne i zaangażowane. Uczyły się języka polskiego. Represje sowieckie przerwały ciągłość w posługiwaniu się mową ojczystą w ich rodzinie.

Konsulat pracuje nieprzerwanie

O tym, jak należy postępować w wypadku konfliktu zbrojnego, mówią konkretne akty prawne: ustawy, rozporządzenia, instrukcje...

Zgodnie z wytycznymi kierownik placówki ustala skład zespołu kryzysowego, opracowywane są plany ewakuacyjne oraz czynności zabezpieczające dokumentację urzędu. Istnieje cały schemat postępowania, ważne, aby w odpowiednim momencie uruchomić odpowiednie procedury. Minister Spraw Zagranicznych musi wziąć na siebie odpowiedzialność za decyzje dotyczące tego, czy placówka ma być ewakuowana w pełni, czy tylko częściowo. W przypadku polskich placówek konsularnych działających do wybuchu pełnoskalowej wojny na Ukrainie w pięciu miastach obwodowych, tj. w Odessie, w Charkowie, w Łucku, we Lwowie i w Winnicy, oraz oczywiście w stolicy – w Kijowie (ambasada + wydział konsularny i Polonii), minister podjął decyzję o pełnej ewakuacji najpierw dwóch konsulatów położonych najdalej od granicy z Polską, a najbliższej granicy z Rosją, tj. z Odessy i Charkowa, oraz wydziału konsularnego z Kijowa. Następnie już po ataku 24 lutego ewakuowane zostały konsulaty z Łucka i Winnicy. Na Ukrainie, w Kijowie pozostał ambasador RP Bartosz Cichocki, we Lwowie natomiast konsulat pracował nieprzerwanie, jedynie w obsadzie zmniejszonej początkowo do tzw. *essential staff*.

W pierwszych miesiącach wojny byliśmy chyba jedyną placówką na Ukrainie realizującą wszystkie zadania konsularne. Choć przeszliśmy na zadaniowy tryb pracy i wykonywaliśmy dużo niestandardowych zadań, czynności konsularne podejmowaliśmy nieprzerwanie, także

w zastępstwie za inne państwa. Wystawialiśmy różne dokumenty na niespotykaną dotąd skalę, głównie polskie paszporty i niestety także zaświadczenia na przewóz zwłok obywateli państw trzecich.

Byliśmy bardzo aktywnie wspierani przez kierownictwo MSZ, a także dyrektorów poszczególnych biur i departamentów. Szczególne podziękowania kieruję do dyrektora Biura Inwestycji – pani Henryki Mościckiej-Dendys, która niezależnie od stopnia skomplikowania naszej prośby, działała niezawodnie i natychmiast odpowiadała na nasze potrzeby. Swoim zaangażowaniem wychodziła zdecydowanie poza zakres zwykłej, służbowej odpowiedzialności. Bardzo dobrze układała nam się również współpraca z komórkami odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo oraz z Departamentem Konsularnym. Natychmiast dostaliśmy wzmocnienie ochrony placówki. Konsulat w mgnieniu oka zamienił się w minitwierdzą – podobnie zresztą jak większość obiektów strategicznych w mieście. Worki z piaskiem zabezpieczały przed potencjalnym ostrzałem. Stalowe „jeżyki” miały chronić przed wrogimi pojazdami. Te i inne środki ochronne codziennie przypominały nam o zagrożeniu wojennym. Wprowadziliśmy procedury bezpieczeństwa i wyposażyliśmy w sprzęt ochrony osobistej naszych wszystkich pracowników. Do dzisiaj, gdy w trakcie pracy ogłaszany jest alarm, bezwzględnie schodzimy do schronu. Bywa, że alarmy ogłaszane są kilka razy dziennie i zabierają nam cenny czas pracy. Nasza irytacja rośnie, ale nie lekceważymy procedur. Po pewnym czasie zniecierpliwiona hełm i kamizelkę kuloodporną. Założone na krótko zdają się ważyć niewiele. Noszone przez kilka godzin z rzędu obciążają kręgosłup, który później boli i dokucza.

Sytuacja wojenna zmieniła także nasz *dress code*. Zaczęliśmy zakładać koszule flanelowe, bluzy sportowe, jeansy. Strój wygodny do pracy fizycznej. Nikt nie nosił już garniturów, kostiumów, pantofli. Elegancja przestała pasować i obowiązywać w czasie wojny. Potem dzięki wsparciu Fundacji Lotto otrzymaliśmy jednakowe białe koszulki polo i polary z logotypem konsulatu na rękawie.

Z biegiem czasu nasza praca zaczęła wracać do dawnego rytmu i zakresu działalności. Po otrząśnięciu się z pierwszego szoku większość pracowników wróciła do pracy. Wydziały funkcjonują w zakresie zbliżonym do tego sprzed wojny.

Lwów zdaje się miastem takim, jakim był zawsze. Gwarnym, ludnym, tętniącym życiem. Na pierwszy rzut oka nie widać tej wojny. W miejsce turystów z Polski i innych krajów weszli nowi mieszkańcy miasta, osoby wewnętrznie przesiedlone. Pracują urzędy, działają kawiarnie, punkty usługowe. Tworzą się korki, ludzie mają do załatwienia różne sprawy. Wszystko wygląda prawie tak jak dawniej. A jednak... Codziennie słychać sygnały karetek pogotowia, które transportują rannych żołnierzy do szpitali. Tak samo, niemal codziennie, w kierunku Cmentarza Łyczakowskiego suną konduktory żałobne, które zatrzymują się na tzw. Marsowym Polu, miejscu pochówku współczesnych obrońców ojczyzny. Wciąż pojawiają się tam nowe groby, a na nich łopoczące flagi. Każdego dnia jest ich coraz więcej...

Czas spędzony na Ukrainie od 24 lutego 2022 roku do dzisiaj z pewnością mnie zmienił, odcisnął ślad na psychice. Coś stało się z moimi emocjami, są silne, ale pozbawione zewnętrznych objawów. Kiedyś wzruszenie, smutek, bezsilność doprowadzały mnie do łez. Dzisiaj nie mogę płakać, choć czasem chciałabym. Wcześniej – jak wszyscy – gromadziłam rzeczy, z którymi się wiązałam, a to z powodów sentymentalnych, a to dla ich wartości materialnej. Gdy po pierwszym szoku nadszedł czas, że i ja mogłam ewakuować do Polski swój dobytek, zrozumiałam, że nic nie jest dla mnie ważne. Zmusiłam się, by wywieźć osobiste dokumenty i prywatny samochód. Zrobiłam to, bo inni tak robili, ale było mi obojętne, co się stanie z tymi rzeczami.

Z czasem uświadomiłam sobie, że ten pierwszy tydzień mojego życia we Lwowie, po 24 lutego jest dla mnie więcej wart, niż wszystkie inne lata pracy. Paradoksalnie, to skrajne wydarzenie, jakim była napad Rosji na Ukrainę, jest najważniejszym i najcenniejszym moim

doświadczeniem życiowym. Pamiętam wszystkie gesty, słowa, zapachy, temperaturę powietrza i naszych wzajemnych relacji.

Do tragicznej zimy przełomu 2021/2022 roku hymn Ukrainy był dla mnie po prostu hymnem innego państwa. Słuchałam go z szacunkiem, ale bez cienia wzruszenia. Dzisiaj ten hymn jest także moją pieśnią wolności. Coś ściska w gardle, przyspiesza rytm serca. Przed oczami stają obrazy kalekich dzieci, zabitych żołnierzy, zrujnowanych miast i wsi. Gniew i ból nakazują trwać wśród tych, którzy cierpią. Ta pieśń dodaje mi siły i wiary w zwycięstwo. Nasze wspólne polsko-ukraińskie zwycięstwo! Oby jak najszybsze...

Lwów, czerwiec 2023 roku



Piotr Andrusieczko

Okupacja

Wielu mieszkańców Ukrainy znalazło się pod okupacją jeszcze w 2014 roku, kiedy Rosja zdecydowała się najpierw przeprowadzić operację militarną mającą na celu przyłączenie Krymu, a następnie rozpoczęła wojnę na wschodzie Ukrainy. Wiele osób zostało zmuszonych do opuszczenia swoich domostw, chociaż byli i tacy, którzy czekali na Rosjan. Na miejscu zostali też ci, którym nowe porządki nie podobały się, ale z różnych przyczyn albo nie mogli, albo nie zdecydowali się wyjechać.

24 lutego 2022 roku rosyjskie wojska tak szybko wdarły się na niektórych kierunkach, że w wielu miejscach ludzie nagle znaleźli się w pułapce okupacji. Rosjanom najszybciej udało się zająć południowe obszary – niemal cały obwód chersoński, większą część zaporoskiego i sporą mikołajowskiego. Rosyjskie wojska podeszły pod Kijów, okupując północną część obwodu. Zajęta została także część obwodu czernihowskiego, znaczna charkowskiego i sumskiego. Pod okupacją znalazła się również część terytorium Donbasu, która po 2014 roku pozostawała pod kontrolą Ukrainy.

Wielu Ukraińców obserwowało z przerażeniem, ale jednocześnie z podziwem, tych, którzy wychodzili na ulice okupowanych miast,

protestując przeciwko wojskom rosyjskim. Tak, Kijów był pod ostrzałem raketowym, nad stolicą pojawiały się rosyjskie samoloty, a w pobliżu trwały walki, ale pozostawał wolny. Dlatego tyle emocji wywoływał los tych, którzy znaleźli się pod okupacją. Tym bardziej że szybko zaczęły pojawiać się informacje o więzionych, torturowanych i zabitych.

Kiedy pod koniec marca Rosjanie wycofali się spod Kijowa i północnej części Ukrainy, pojechaliśmy porozmawiać z tymi, którzy przeżyli okupację. A później, jesienią ubiegłego roku do tych, którzy mieli szczęście doczekać się powrotu Ukrainy, dołączyli też mieszkańcy wyzwolonych terytoriów w obwodzie charkowskim, mikołajowskim i chersońskim.

Widok wszędzie był podobny. Rozbite transportery opancerzone i inny ciężki sprzęt na poboczach dróg. Pełno śmieci, w tym setki, jeśli nie tysiące porzucanych opakowań po racjach żywnościowych. Namioty w lasach zrobione z tego, co było pod ręką, gdzieś tam stały ukradzione mieszkańcom fotele i kanapy. A na drogach i w lasach odebrane mieszkańcom zniszczone samochody osobowe z rosyjskimi oznaczeniami.

Śladów walk w postaci zniszczonych czołgów i transporterów będzie można się pozbyć najszybciej. Remont domów i całych miejscowości potrwa znacznie dłużej. Ale najtrudniej będzie zapomnieć – nawet tam, gdzie cudem nikt nie zginął.

„Wyzwoliciele” (obwód kijowski)

Z Kijowa do Czarnobylskiej Strefy Wykluczenia jest niecałe 120 km. Ale jedzie się dłużej ze względu na objazdy. Droga prowadzi przez zniszczoną w wyniku ostrzałów artyleryjskich i bombardowań miejscowość Borodzianka. Minęło dopiero 10 dni od momentu, kiedy Rosjanie wycofali się z północnej części obwodu kijowskiego. Na miejscu wciąż trwały prace poszukiwawcze pod zawałonymi blokami, a saperzy szukali niewybuchów. Na ulicach widać mieszkańców jadących rowerami wzdłuż szkieletów wielopiętrowych budynków. Po drodze mijamy wiele

ostrzelanych samochodów osobowych, część została też zgnieciona przez czołgi, a niektóre mają namalowaną na masce i drzwiach literę V – znak rozpoznawczy rosyjskiej armii.

Żeby dostać się do wsi Choczewa, trzeba się było trochę natrudzić, bo prowadzący do niej most został wysadzony, podobnie jak wiele innych w obwodzie.

– 31 marca wieczorem wysadzili most i chwała Bogu poszli. Wybuch był tak silny, że okna u niektórych wyleciały – mówią spotkani we wsi mieszkańcy.

Z Choczewa droga prowadzi dalej do Czarnobylskiej Strefy Wykluczenia. To z tego kierunku wieczorem 24 lutego do wsi wkroczyli Rosjanie.

Ołeksandr mówi, że w ciągu godziny naliczył 74 czołgi. A sprzęt jechał przez wieś 14 godzin. Rosjanie wokół wsi wykopali transeje, mieszkańcom zabierali deski, gwoździe, płyty, piły.

– Każdego dnia strzelali, pili, rakiety latały, wydawało się, że bezpośrednio nad nami, tak dom się trząsał. Było strasznie. I nadal jest strasznie – mówi 70-letnia kobieta.

Nie chce powiedzieć, jak się nazywa, bo łatwo byłoby ją zidentyfikować, a boi się, że Rosjanie mogą jeszcze wrócić. W wiosce nie ma prądu od 28 lutego, telefonia komórkowa nie działa. O tym, co się dzieje, dowiadują się z radia, które sąsiad Ołeksandr podłączył do akumulatora wyjętego z samochodu.

– Ale w porównaniu z innymi miejscami u nas było spokojnie. Z Przybylska zabrali pięciu młodych chłopców. Zatrzymali ich i w telefonach znaleźli zdjęcia rosyjskich transporterów. Nie wrócili, pytaliśmy o nich każdego dnia i wreszcie jeden z żołnierzy powiedział: „ładunek 200” [wojskowe określenie na zabitych – przyp. red.] – opowiada Ołeksandr.

W Choczewie stacjonowało ok. 250 rosyjskich żołnierzy. Tutaj zrobili bazę remontową dla uszkodzonych czołgów i transporterów. Najgorsi byli kadyrowcy, którzy przybyli na drugi-trzeci dzień.

Kobieta próbowała rozmawiać z rosyjskimi żołnierzami, pytała ich, po co przyszli.

– Mówili, że przyszli nas wyzwolić! Zapytałam, od kogo, bo sama jestem ruska. Przeżyłam tu 50 lat i nikt mnie tutaj nigdy nie obraził. Cieszę się, że żyję na Ukrainie. Odpowiedzieli, że przyszli nas wyzwolić „od waszego komika”. Mówię, że przecież my go wybraliśmy i my was nie wyzwalamy od waszego prezydenta! Nie wiem, co wtłoczyła im do głów ich propaganda – że my tutaj dzieci jemy?

Ona sama pochodzi z obwodu leningradzkiego. Do Choczewa przywiózł ją nieżyjący już jej mąż – Ukraińiec, z którym poznała się podczas jego służby wojskowej w Rosji.

– Miał na imię Petro. Był bardzo dobry. Ani jednego dnia nie żałowałam, że tutaj przyjechałam. A teraz oni przyszli i mi mówią: „dlaczego tu siedzisz, jedź do Rosji” – opowiada oburzona.

Część ze stacjonujących żołnierzy pochodziła z rosyjskiego Dalekiego Wschodu.

– Tak się dziwili, że u nas we wsi jest droga asfaltowa, że jest gaz, że jest woda. „Jak to możliwe, że u was we wsi to wszystko jest?”

Co prawda, kiedy rozmawialiśmy, to asfaltu we wsi już prawie nie było – rozjechały go czołgi. Mieszkańcy Choczewa mają nadzieję, że skoro Rosjanie wysadzili mosty, to już nie wrócą.

Iwanków to znajdująca się na północ od Kijowa miejscowość typu miejskiego, w której do wojny żyło ponad 10 tys. osób. Idące z Białorusi rosyjskie wojska zajęły ją w nocy z 24 na 25 lutego. Ale w pobliżu napotkały opór ukraińskich obrońców, którzy dali stolicy dodatkowy czas na przygotowanie się do obrony.

Jadąc od strony białoruskiej granicy, przed miejscowością widzimy rondo z rzeźbą w formie dużego jaja. Drogi i trawniki zostały całkowicie rozjechane przez rosyjskie kolumny pancerne. Dalej do miasta prowadzi ulica Poleska.

31 marca kolumna rosyjskich wojsk zajechała obok ich domu i zaczęli się tam okopywać. Ale tego samego dnia Rosjanie nagle wyjechali. Nina do swojego mieszkania weszła dopiero kilka dni później.

– Dochodziłam do drugiego piętra i nie mogłam iść dalej. Nerwy nie pozwalały i wracałam – mówi Nina.

Stoimy na wewnętrznym placu przed jej blokiem.

– Wciąż, jeśli jakiś samochód jedzie szybko, myślimy, że to może samolot i się podrywamy. Strach jeszcze pozostaje. Nad naszym domem latały samoloty, które dalej zrzucały bomby, a helikoptery przelatywały tak blisko, że widać było głowy pilotów – dodaje młoda kobieta, sąsiadka Niny.

Jak to bywa na wojnie, położenie domów ma duże znaczenie. Mieszkańcy tego domu mieli pecha. Ich blok stoi jako pierwszy na wjeździe do miasta od północnej strony.

– Jeśli gdzieś jest piekło, to my w nim żyliśmy. Najmniejsze dziecko, kiedy zaczęli nas ostrzeliwać, miało tylko cztery dni i ono też było w piwnicy. Rok, trzy, pięć, osiem, dziewięć – Nina wylicza wiek pozostałych dzieci.

Stoimy na podwórzu, z tej strony nawet nie widać zniszczeń, większość jest od strony drogi.

– Dom się trząsł od wystrzałów, dzieci krzyczały i traciły świadomość. Prosiłiśmy Boga, żebyśmy pozostali żywi – mówi Nina.

Niemal każda nowa rosyjska kolumna, która przejeżdżała drogą, strzelała w budynek, chociażby kilkoma pociskami z karabinu maszynowego.

– U mnie w pokoju w ścianie są kule po serii z karabinu maszynowego. Nie wyjmuję ich, niech przypominają, co tu się stało – dodaje.

Pożary w mieszkaniach gasili sami. Za pierwszym razem próbowali wezwać staż pożarną, ale odpowiedzieli im, że pod ostrzałem nie są w stanie do nich dojechać.

Przez pierwsze dni, oprócz przypadków gaszenia ognia, nie wychodzili z piwnic, które stały się ich mieszkaniem. Numeracja dat na jednej ze ścian zaczyna się od 27 lutego. Kolory nie są przypadkowe. Pierwsze dwie daty na czerwono i czarno, kolejne na przemian w kolorach niebieskim i żółtym i tak do 1 kwietnia. Pod jedną z klatek piwnice były

tak ciasne, że mieszkańcy po prostu w nich siedzieli. Na ulicy był mróz, przepadł prąd, podobnie jak woda i łączność.

Gotowali na podwórzu, szybko zaczęły się problemy z jedzeniem. Ale ratowało ich to, że mieszkańcy byli ze sobą przed wojną zaprzyjaźnieni i pomagali sobie.

– Jak jedzenie się skończyło, to mieliśmy pszenicę z otrębami i robiliśmy lepioszki i mieliśmy przetwory, u kogoś były ziemniaki. Wszyscy się dzielili.

Nina pytała rosyjskich żołnierzy, po co przyjechali, a ci, podobnie jak w innych miejscowościach, powtarzali, że przyjechali wyzwolić mieszkańców od nazistów i usunąć komika [Zełenskiego – przyp. red.].

– Widzieliście po drodze, ile drzew zrąbanych od pocisków. Gdyby nie las, to naszego domu by nie było – mówi nagle Nina.

Rzeczywiście miejscami las jest zmasakrowany.

– Kiedyś obroniliśmy ten las, bo chcieli go wyciąć. 2-3 lata temu wszyscy protestowaliśmy i nie daliśmy tego zrobić. Dzięki temu powstała tutaj zielona strefa. Najpierw my go uratowaliśmy, a teraz on nas.

Mieszkańcy bloku w Iwankach mieli szczęście, ale w rozmowach często przywołują tragedie mieszkańców nieodległej Borodzianki, którzy zginęli w swoich domach, oraz zastrzelonych w Buczy i Iрпиenu.

Bucza – nieduże miasto położone blisko Kijowa. W ostatnich latach dynamicznie rozwijające się ze względu na popularność wśród tych, którzy mieli dosyć stołecznego szaleńczego rytmu. Bucza oferowała nowe domy, dobrą infrastrukturę, dużo zieleni i szybki dojazd do Kijowa. Tak było do 24 lutego 2022 roku. Później przysła rosyjska armia i miasto poznał cały świat. Ale to nie wspomniane walory miasta były na pierwszych stronach gazet, ale piekło, które zgotowali w tym miejscu żołnierze rosyjskiej armii jej mieszkańcom.

8 kwietnia, czyli trochę więcej niż tydzień po wyjściu Rosjan, w Buczy rozpoczęły się ekshumacje zabitych tam ludzi.

– Niemal wszystkie ciała mają ślady ran od broni palnej i odłamków. Stwierdzono, że ci ludzie zginęli podczas ewakuacji albo zostali

rozstrzelani na ulicach Buczy – mówił 13 kwietnia Rusłan Krawczenko, kierownik Prokuratury Okręgowej w Buczy.

W pobliżu cerkwi w Buczy trwają prace ekshumacyjne, teren jest częściowo odgradzony. Stoją policjanci i ludzie z napisami na kurtkach po angielsku „Prokuratura Wojenno-Kryminalna”. Do znajdującego się w pobliżu częściowo odkopanego kilkunastometrowego rowu podjeżdża samochód dostawczy z otwartą ładownią i dźwigiem. Do jego haka jest przymocowana drewniana platforma. Trzech mężczyzn w kombinezonach ochronnych rozpoczyna ostrożnie zdejmować kolejną warstwę piachu w rowie. Po chwili pojawia się kawałek czarnej folii – to jeden z worków z ciałem zabitego mieszkańca Buczy, który został pochowany w tej zbiorowej mogile podczas rosyjskiej okupacji.

W tym miejscu zaczęto chować zabitych w Buczy 10 marca. Teraz ich ciała są wyciągane ze zbiorowej mogiły i każde z nich jest oglądane od razu przez ekspertów. Rozchylają jeden z worków, mężczyzna nie ma górnej części odzieży, możliwe, że próbowano go ratować, na przegubie świeci się metalowy zegarek.

W pracach śledczych pomagają francuscy eksperci medycyny sądowej. W środę do Buczy przyjechał również Karim Khan, prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego.

Niektóre ciała mają związane ręce i nogi, a także połamane kości. Wszyscy to cywile, oprócz jednego – miejscowego policjanta. Większość zabitych to mężczyźni.

– Również wczoraj miały miejsce oględziny ciała kobiety z dwójką dzieci – wstępnie ustalono, że podczas ewakuacji jechali samochodem, zostali ostrzelani, ich samochód zapalił się i pasażerowie spłonęli – dodał prokurator.

W Buczy powstało też cmentarzysko ostrzelanych samochodów. Na podziurawionym jak sito furgonie osobowym widnieje napis „Dzieci”. W środku śpiwór, odzież, porzucane kosmetyki. Nie widać śladów krwi, może jego pasażerom udało się uratować, a samochód został podziurawiony już później.

Ukraińska prokuratura kwalifikowała zabójstwa cywili w Buczy jako przestępstwo wojenne. Według Krawczenki, tutejszych mieszkańców zabijano dlatego, że byli wolontariuszami, pomagali armii, rozmawiali po ukraińsku, albo po prostu dlatego, że byli Ukraińcami.

Prokurator Khan stwierdził, że przyjechał do Buczy, bo są podstawy świadczące o tym, że popełnione tutaj przestępstwa podlegają Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu.

Na cmentarzu komunalnym w Buczy w kwietniu zaczęło przybywać nowych mogił. Silny wiatr kołysze plastikowymi wieńcami na nowych grobach. Przy jednym z grobów przykucnęło kilka osób, dzielą się jedzeniem i wypijają po kieliszku koniaku.

– Musimy się podzielić, weź proszę – wciska nam w ręce reklamówkę z waflami i cukierkami, to prawosławny zwyczaj. Jego dłonie są czarne. W Buczy, podobnie jak w wielu innych miejscowościach opuszczonych przez Rosjan, wciąż nie ma wody i prądu.

– To mój brat Dmytro, pochowaliśmy go wczoraj rano. Zabili go 26 marca w Buczy na ulicy Sadowej, obok transformatora. Wyszedł z domu i powiedział, że musi szybko zanieść przyjacielowi powerbank i papierosy. To było ok. 10 rano. Przeszedł przez tory kolejowe, dalej wzdłuż kilku domów do skrzyżowania z ulicą Sadową. Dochodził do transformatora i natknął się na grupę rosyjskich żołnierzy, którzy „zaczyszczali” teren.

Sadowa w Buczy to w większej części ulica jak w wioskach, po obu stronach stoją parterowe domy z ogrodami. 26 marca rosyjscy żołnierze musieli być już silnie zdenerwowani, ukraińskie wojska prowadziły kontruderzenia i wypierali ich z sąsiedniego Irpienia. Kiedy zobaczyli Dmytra i jego kolegę, zaczęli do nich strzelać. Mężczyźni próbowali skryć się za pierwszym skrzyżowaniem. 20-letniemu Władowi się udało, ale Dmytro dostał.

– Brata ranili w lewą stronę brzucha, świadek mówi, że od razu się położył z rękoma za głową. Podbiegli rosyjscy żołnierze, wzięli go pod ramiona i przeciągnęli za transformator, bili go tam i pytali o coś,

a potem strzelili mu w głowę. Zabrali jeszcze jakiegoś mężczyznę, który szedł po ulicy, i powiedzieli mu, że będzie zakopywał mojego brata. Krew widać tam do tej pory.

Rodzina początkowo nie wiedziała, co się stało z bratem. Na miejscu ciała nie było. Najpierw szukał go ojczym, później przez kilka dni brat z żoną. Mieli nadzieję, że jest w niewoli. Później znajomy, który pracował jako wolontariusz przy zbieraniu ciał, powiedział, że widział wśród nich ciało Dmytra.

– Ale nie byłem pewien, czy on ma rację. A potem była ekshumacja 8 kwietnia i kiedy wyłożyli pierwsze dziesięć ciał, od razu go poznałem. On leżał czwarty – opowiada brat zabitego.

Rodzina Dmytra przeżyła rosyjską okupację. Starali się nie wychodzić, bo strzały nie milkły i nad budynkami latały pociski i grad.

– Na szczęście oni do nas nie przychodzili. Przez ten cały czas stacjonowały tu różne wojska. Byli kadyrowcy, rosyjski specnaz i widać było żołnierzy z Dalekiego Wschodu. I ci byli najbardziej brutalni. To było straszne, w przeciągu dwóch tygodni narobili tyle nieszczęść – dodaje brat.

Świadek, który słyszał i widział częściowo zabójstwo Dmytra, mówił, że do jeszcze rannego przyjechał rosyjski oficer i coś sprawdzał w tablecie.

– Oni bali się naszych byłych żołnierzy. Sprawdzali tatuaże u mężczyzn. Podobno złamali naszą bazę w komendzie uzupełnień. Nie wiem, co było przy bracie oprócz papierosów, powerbanka i dokumentów. Tak, służył, kim by zresztą był, jeśli by nie służył w swojej armii? On po prostu szedł do przyjaciela. Jego córka ma tylko siedem lat. A on sam miał 32 lata i 20 kwietnia obchodziłby kolejne urodziny. Po co go zabili, zostawiliby rannego, po co było dobijać, może by go uratowali, szpital pracował!? – nie może zrozumieć jego brat.

On sam z rodziną zamierzają zostać w Buczy.

– Będziemy jakoś żyć dalej, a co robić – mówi szeptem.

We wrześniu 2022 roku policja obwodu kijowskiego poinformowała, że po deokupacji Buczy znaleziono łącznie 422 zabitych mieszkańców miasta.

Wieś, która powstrzymała Rosjan (obwód sumski)

Z obwodu sumskiego rosyjska armia również uciekła pod koniec marca 2022 roku. Ale spokoju w obwodzie nie ma, Rosjanie nie odeszli daleko. Obwód sumski graniczy z trzema obwodami Federacji Rosyjskiej: briańskim, kurskim i biełgorodzkiem. Granica z Rosją zajmuje niemal 564 kilometry. Im bliżej do granicy, tym niebezpieczniej. Miejscowości położone w strefie przygranicznej obwodu sumskiego codziennie są kilkadziesiąt razy ostrzeliwane z terytorium Rosji.

Pierwszego dnia rosyjskiej agresji ogromna liczba rosyjskich wojsk z czołgami i transporterami opancerzonymi weszła na teren obwodu sumskiego. Rosyjskie kolumny zmierzały dalej na zachód w kierunku Kijowa. Obwód miał się stać głębokim tyłem dla rosyjskiej armii. Być może rosyjscy dowódcy zakładali, że mieszkający tu ludzie, tak przecież blisko Rosji, będą ich witać chlebem i solą, a przynajmniej zachowają neutralność. Rzeczywistość okazała się daleka od tych wyobrażeń.

Zresztą wystarczyło przejrzeć wyniki wyborów parlamentarnych i prezydenckich w tym obwodzie. Gdyby w innych wschodnich regionach Ukrainy głosowano tak jak na Sumszczyźnie, to żaden prorosyjski kandydat nie miałby szans na wygraną. W drugiej turze wyborów prezydenckich w 2010 roku Wiktor Janukowycz otrzymał tam 30,4 proc., a jego oponentka Julia Tymoszenko – 62,89 proc. Nawet podczas sfałszowanej drugiej tury wyborów prezydenckich w 2004 roku w obwodzie sumskim udało się naciągnąć wynik Janukowicza jedynie do 26,37 proc. Pochodzący z tego regionu Wiktor Juszczenko otrzymał 69,09 proc., a podczas powtórnego głosowania aż 79,5 proc.

Ale to nie był jedyny problem dla rosyjskich okupantów. Rosyjska władza i armia chętnie sięgały do tradycji tzw. wojny ojczyźnianej, ale wchodząc na Sumszczyznę, najwidoczniej zapomniano, że to tutaj w czasach II wojny światowej operowało jedno z największych ugrupowań partyzanckich. W położonym w północnej części obwodu Głuchowie, skąd do rosyjskiej granicy w linii prostej jest mniej

niż 10 kilometrów, znajduje się muzeum jego dowódcy Sidora Kowpaka. Owszem, był działaczem komunistycznym, ale jednocześnie Ukraińcem.

Do tego doświadczenia odwołał się szef państwowej administracji obwodu sumskiego, Dmytro Żywycki. W wywiadzie udzielonym wiosną 2022 roku „Ukraińskiej Prawdzie” stwierdził, że tradycja partyzancka głęboko tkwi w genach mieszkańców Sumszczyzny.

W momencie rosyjskiej inwazji w obwodzie znajdowały się nieliczne oddziały regularnej ukraińskiej armii. Miejscowe władze nie spodziewały się, że Rosja zaatakuje ich obwód. Dlatego w pierwszych dniach ciężar walki z agresorem spoczął na ochotnikach i obronie terytorialnej, czyli po prostu na mieszkańcach obwodu.

„Największa armia świata mogłaby obrócić Amerykę w popiół, ale na jej drodze stanęła wieś na Sumszczyźnie” – napisał z ironią 5 marca szef obwodu na swoim koncie na Facebooku.

To było już po tym, jak mieszkańcy przy pomocy koktajli Mołotowa i różnej broni zadali znaczne straty rosyjskim oddziałom. Niszczono czołgi, BTR-y i brano do niewoli rosyjskich żołnierzy. Jednak ochotników było zbyt mało, żeby powstrzymać marsz Rosjan na Kijów. Według szacunków wojskowych na początku agresji w niektórych dniach na terenie obwodu znajdowało się nawet 10 tys. sztuk ciężkiego rosyjskiego sprzętu bojowego: czołgów, transporterów opancerzonych, haubic. A najdłuższa kolumna rosyjskich wojsk zmierzających na zachód miała ok. 180 kilometrów długości.

Sum Rosjanie nie zdobyli, woleli blokować miasto, a na początku marca z pomocą przyszły regularne oddziały ukraińskiej armii. Rosjanie okupowali natomiast centralną część obwodu. Niektóre miejscowości znalazły się po prostu na ich tyłach i funkcjonowały dalej jak ukraińskie enklawy otoczone przez rosyjską armię.

Tam, gdzie to było możliwe, mieszkańcy prowadzili walkę partyzancką i odnosili sporo sukcesów – niszczyli rosyjskie BTR-y i haubice, a nawet zdobyli czołg T-80, który przekazali obronie terytorialnej.

– Dużo rosyjskich kolumn jeździło u nas. Poruszali się jak po kręgu, zupełnie nie orientowali się w terenie, a u nas do tej pory nie ma znaków z nazwami miejscowości – wszystkie zdjęliśmy – mówił w lipcu 2022 roku Ołeksandr Onoszko, starosta gromady we wsi Biłka w obwodzie sumskim.

Dzięki temu miejscowi mogli przemieszczać się czy przywozić potrzebne produkty do okolicznych wsi. I to nie zważając na to, że w pobliżu Biłki stacjonowały znaczne rosyjskie siły. Ale ten brak orientacji w terenie rosyjskich żołnierzy wykorzystywano nie tylko w celach humanitarnych.

– W naszym rejonie obecni byli partyzanci. Wśród nich był nasz miejscowy policjant i inni miejscowi chłopcy, przede wszystkim ci, którzy wcześniej mieli do czynienia z bronią – myśliwi. Oni mają pewne nawyki: znają drogi, teren, wiedzą, jak cicho podejść. Potrafią dobrze strzelać. Organizowali zasadzki tam, gdzie można było Rosjan trochę pobić, rozgromić. Wychodzili niekiedy po kilkanaście kilometrów, żeby zdobyć broń – opowiada starosta.

On sam nie walczył, bo – jak mówi – zajmował się sprawami humanitarnymi, ale na wszelki wypadek też dostał od partyzantów zdobyczną broń. Ponad dwa miesiące po okupacji Onoszko energicznie zajmuje się przywracaniem porządku w swojej gromadzie. Wieś znacznie ucierpiała – pięć ulic zostało zbombardowanych, wiele budynków zostało doszczętnie zniszczonych.

Starosta znalazł jednak częściowe rozwiązanie, jak pomóc tym, którzy stracili swoje domy.

– Były u nas budynki raszystów. Oni kiedyś tutaj pobudowali sobie dachy. Przyjeżdżali tu odpoczywać i teraz je nacjonalizowałem – śmieje się starosta. – Oni przecież już tutaj nie przyjadą. Stali się wrogami. Ja nawet słuchać o nich nie chcę. Oddałem ich domy potrzebującym rodzinom.

Po deokupacji starosta wstąpił do miejscowej obrony terytorialnej, a niektórzy z tutejszych partyzantów poszli walczyć na froncie.

Jadąc z Sum na południe w kierunku Połtawy, w miejscowościach, które znalazły się na drodze rosyjskiej armii, widać zniszczone budynki. Na niektórych z nich widoczne były jeszcze napisy „Niczego nie ma”, które zresztą nie bardzo pomogły.

4 marca Rosjanom udało się całkowicie zająć miasto Trościaniec. Tutaj stacjonowały ich oddziały, które atakowały jeszcze bardziej wysuniętą na południe Ochtyrkę.

Przed rosyjską inwazją mieszkało tu ok. 20 tysięcy osób. Po walkach plac im. 40 Armii (wyzwalała lewobrzeżną Ukrainę podczas II wojny światowej) przed dworcem kolejowym był niemal całkowicie zniszczony. Zostały tylko zgliszcza budynków.

Oberwał nawet stojący na postumencie czołg, symbolizujący wyzwolenie miasta spod niemieckiej okupacji w 1943 roku. Drugi raz Trościaniec, tym razem spod rosyjskiej okupacji, został wyzwolony 26 marca. Plac i miasto były wtedy zavalone zniszczonym rosyjskim sprzętem. Teraz już go tam nie ma. Ale przed dworcem i na peronie wciąż widać ślady po gąsienicach.

Sam budynek dworca kolejowego też został wielokrotnie trafiony. Jeszcze mniej szczęścia miał znajdujący się obok dworzec autobusowy – został tylko szkielet. Na parapecie wypalonego budynku leżą dokumenty ukraińskich ratowników. Nie wiadomo, co się z nimi stało.

Pod koniec marca partyzanci z tego rejonu Sumszczyzny pomagali 93 Brygadzie ZSU w wyzwoleniu miasta Trościaniec. Sukces nie byłby taki, bo przeciw nim walczyli żołnierze elity rosyjskich wojsk – 4 Gwardyjskiej Kantemirowskiej Dywizji Pancерnej.

Mieszkańcy obwodu stawiali opór nie tylko z bronią w rękę, wielu pomagało jak mogło. Na ławce przed sklepem niedaleko dworca kolejowego w Trościańcu, Luba i Tetiana piją kawę. Kobiety przyjechały z jednej z pobliskich wsi na zakupy. Ich miejscowość znajdowała się miesiąc pod rosyjską okupacją. Przez ten czas kobiety, ryzykując, pomagały ukraińskiej armii.

– Przekazywałyśmy informacje. Dzwoniłam do Marusi, która mieszka w pobliżu skrzyżowania, i pytałam, co u niej słysząc. A ona mówiła: „właśnie przejechało 130 czołgów i 30 cystern”. Następnie dzwoniłam do córki w Sumach i ona przekazywała te informacje, gdzie trzeba.

Teraz śmieją się: „co my miałyśmy w głowach, bo przecież nasze rozmowy można było namierzyć”. I rzeczywiście, kobiety ryzykowały bardzo.

– Ale co robić, trzeba było naszym chłopcom przekazywać informacje – dodaje Tetiana.

Kobiety mówią, że po tym, co przeżyły, już się nie boją, ale przeżywają bardzo za tych, którzy bronią Ukrainy.

– Tylko dusza boli za naszych biednych chłopców na froncie. Chcemy im jakoś pomóc, pewnie w Sumach są jakieś organizacje – moglibyśmy przekazywać marchew, buraki, to, co u nas jest w ogrodzie. Co miesiąc staramy się przekazywać trochę pieniędzy na armię. Emerytury mamy małe, ale i tak je otrzymujemy dzięki tym chłopcom, którzy giną. Jak tylko o tym pomyślę, to od razu płaczę – dodaje Luba.

Basztańscy partyzanci (obwód mikołajowski)

Na początku marca rosyjskim wojskom udało się wdrzeć swoimi kolumnami na północ w obwodzie mikołajowskim w rejon miasta Basztanka. Miejscowość miała strategiczne znaczenie w rosyjskich planach. Jej zdobycie dawało możliwość okrążenia Mikołajewa i uderzenia na Krzywy Róg. Był tylko jeden problem, którego rosyjscy dowódcy nie przewidzieli – opór miejscowej ludności. A stosunek wielu miejscowych do agresorów wyraża się w prostym i popularnym haśle: „Pochuj tanki – my z Basztanki”. Zresztą wiele mówi już sam herb miasta, na którym widnieje z lewej strony karabin z bagnietem, z lewej chorągiew kozacka, a pośrodku łan zboża.

Basztanka została założona na początku XIX wieku przez kozaków i wolnych chłopów przybyłych z Połtawszczyzny i Czernihowszczyzny,

do których w kolejnych latach dołączyli uciekający przed poddaństwem z terenów imperium. Wieś pierwotnie nazywała się Połtawka. W latach 1917-1921 miejscowi mieszkańcy walczyli z białymi i przez krótki okres istniała tu nawet Republika Basztańska. Stąd w 1928 roku zmieniono nazwę Połtawki na Basztanekę. W związku z tym w 2019 roku miasto znalazło się nawet na liście miejscowości ukraińskiego IPN podlegających dekomunizacji. Ale sama nazwa „basztań” podkreśla stepowy, południowy klimat – to określenie na pola, na których uprawia się arbuzy, melony i dynie. W Ukrainie jest też ludowa dziecięca gra „basztańka”, w której prowadzący – „stróż” – stara się złapać graczy, którzy zamierzają „kraść” z pola arbuzy. Trudno się więc dziwić, że mieszkańcy basztańskiego rejonu, mający we krwi swobodę, stanęli do walki z rosyjskimi najeźdźcami, którzy przybyli grabić ich kraj.

Potwierdza to w rozmowie szef wojskowej administracji Krzywego Rogu Ołeksandr Wiłkuł. Wcześniej bym nie pomyślał, że będę przeprowadzał wywiad z Wiłkułem, do tego w roli niemal miejscowego bohatera. Przez wiele lat on i jego ojciec tworzyli jeden z klanów polityczno-biznesowych w obwodzie dnipropropietrowskim, nie najsilniejszy, ale jednak posiadali spore wpływy. Ołeksandr Wiłkuł był szefem państwowej administracji obwodu dnipropropietrowskiego i deputowanym w Radzie Najwyższej, a jego kariera polityczna przez wiele lat była związana z Partią Regionów. Generalnie postać, która nie wzbudzała sympatii. Ale 24 lutego wiele zmienił. Ktoś niespodziewanie stał się kolaborantem, a inni przeciwnie, pokazali, że są gotowi walczyć z Rosjanami. Do tych ostatnich należał Wiłkuł. Krążą o nim nawet historie, że własnoręcznie wysadzał mosty na drodze rosyjskiej armii. Ciekawe są jednak jego rodzinno-historyczne konotacje, które pokazują, że „nie wszystko jest tak jednoznaczne”, tylko nie w tej formule, którą wykorzystywała przez lata rosyjska propaganda.

– Część rosyjskiego ugrupowania, które wypełzło z Krymu, przeszła przez Chersoń i obwodnicę Mikołajewa. Następnie skierowali się na Basztanekę. Na tym zakręcie mieliśmy swoje „oczy”. Wiedzieliśmy,

że kolumna skręca na prawo. Z Basztanką jestem głęboko związany – rodzina mojego ojca pochodzi z tej miejscowości. Co więcej, mój pradziadek Filip Wiłkuł był głównodowodzącym Basztańskiej Republiki Ludowej w 1919 roku i zabili go rosyjscy biali pod dowództwem gen. Swłaszczoła [Jakowa – przyp. red.]. Dzięki otrzymanej informacji mogliśmy skoordynować działania naszego lotnictwa i nasze śmigłowce, atakując, trzy razy odstrzeliły połowę kolumny. Pamięta pan, jak pojawiły się w internecie fotografie basztańskich rolników, którzy ciągnęli traktorami rosyjski sprzęt? To właśnie ta historia – opowiadał w maju 2022 roku w swoim gabinecie, paląc papierosa za papierosem, ubrany w militarne ciuchy Wiłkuł.

W każdym razie, na południu Ukrainy, podobnie zresztą jak zapewne w obwodzie sumskim, Rosjanie nie spodziewali się takiego oporu ze strony miejscowych. Na zachód od Basztanki położona jest spora wieś Pluszcziwka. Została założona przez żydowskich przesiedleńców z Białorusi na początku XIX wieku i do 1945 roku nazywała się Efyngar, co oznacza po hebrajsku „ładna rzeka”. We wrześniu 1941 roku niemieccy okupanci rozstrzelali wszystkich mieszkańców – 521 osób, w tym 377 dzieci.

– Pomagał im wtedy niestety jeden miejscowy, którego Niemcy mianowali starostą – opowiada Switłana Włanżuła, nawiązując do obecnych kolaborantów.

Ona sama jest starostą od 24 lutego, czyli od początku rosyjskiej agresji. Co prawda początkowo nieoficjalnie. Dotychczasowy sołtys ruszył na wojnę pierwszego dnia wraz z grupą tutejszych mężczyzn. Switłana, która do tej pory zajmowała się po prostu gospodarstwem, niejako samowolnie wzięła sprawy w swoje ręce. Z tych, którzy zostali, zorganizowała miejscową samoobronę.

– Urodziłam się tu i znam każdy zakątek, każdą drogę. Rozstawiliśmy swoje posterunki. Siedzieliśmy po nocach, nie spaliśmy. Obserwowaliśmy ich ruchy i przekazywaliśmy informacje dalej – opowiada Switłana.

Rosjanie wjechali do ich wsi dużą kolumną. Od razu ostrzelali jeden z domów. Cudem nie zginęła 21-letnia dziewczyna, pociski przebiły ścianę kilka centymetrów nad jej głową.

– Chłopcy dzwonili i pytali: „co robimy?”. Odpowiedziałam, że bez partyzantki, bo nas wszystkich pozabijają. A my sami nie mieliśmy broni – opowiada starosta.

Ale sama nie potrafiła spokojnie przyglądać się rosyjskim wojskom. Kiedy jedna z takich kolumn przejeżdżała przez wieś po tym, jak wcześniej ostrzelała z gradów Basztanę, nie wytrzymała i transmitowała ich ruch na Facebooku z emocjonalnymi ostrymi komentarzami.

„Orki wiozą grady. Zabłądziliście, sobaki!? Ja tobie pomacham, bładź, pomacham ci skurczybyku, poszli na chuj! Nienawidzę was! Żebyście spłonęli w piekle!” – słychać na nagraniu wideo z transmisji, które starosta pokazuje na swoim telefonie, przepraszając, że pada tyle niecenzuralnych słów.

Transmisja na Facebooku nie była zbyt rozsądna. Wideo wykasowała na prośbę syna, który obawiał się, że Rosjanie ją zabiją. Obawy były słuszne, bo Switłana nie tylko przeklinała rosyjskich żołnierzy, ale też mówiła przez jaką wieś jadą i w jakim kierunku. I kolumna została rozbita przez ukraińską artylerię. Jej młodszy syn tak się przestraszył, że przez miesiąc nie mógł rozmawiać.

Na początku marca, w pobliżu wsi Bohomazy, ukraińskie samoloty ostrzelały inną dużą rosyjską kolumnę. Zniszczono czołgi i transportery, a rosyjscy żołnierze rozbiegli się po okolicy.

– Minęły dwa dni, moi chłopcy, wszyscy na posterunkach, dzwonią i mówią: „Swięta, w kierunku naszej wsi idzie 11 rosyjskich żołnierzy”. Szli polami, przebiegając od jednej kępy drzew do drugiej. Mieliśmy tylko dwie strzelby. Obdzwoniłam ludzi i powiedziałam: „Przyjeżdżajcie wszyscy na samochodach za wieś”.

Switłana zadzwoniła też do sąsiedniej wsi, gdzie mieli pięć automatów, ale postanowili nie czekać na ich przyjazd. Wzięła biały worek i poszła przekonywać Rosjan, żeby się poddali. Mówi, że każdy z nich

miał po automacie, dwa-trzy magazynki, wiele granatów i jeden karabin maszynowy. Gdyby weszli do wsi, to mogliby ich powystrzelać, ją w pierwszej kolejności, bo we wsi byli też kolaboranci.

– Uratowało nas to, że oni nie wiedzieli, że nie mamy broni. Przestraszyli się, że podjechało wiele samochodów. Podeszliśmy do nich i zaczęliśmy krzyczeć, żeby się poddali. W odpowiedzi zaczęli strzelać w powietrze. My znów krzyczeliśmy, oni jeszcze postrzelali, ale nie wytrzymali i zgodzili się złożyć broń pod warunkiem, że zagwarantujemy im, że zostaną żywi. Obiecaliśmy i nasi zabrali im broń – śmieje się Switłana.

Zdaniem starosty, Rosjanie rzeczywiście myśleli, że tutejsi mieszkańcy na nich czekają jak na wyzwolicieli. Ale dodaje też, że niestety w ich rejonie byli pojedynczy kolaboranci. Jedna z takich kolaborantek wydała Rosjanom tutejszego weterana wojny na Donbasie.

– Tak go bili, że prosił, żeby go zastrzelili. Wczoraj płakałam, kiedy słyszałam, jak mama opowiadała. Nie wydał nikogo ze swoich towarzyszy.

Mężczyzna uratował się, mimo że Rosjanie przeprowadzili jego egzekucję. Został ciężko ranny, ale udało mu się uciec.

Droga z Pluszczewki do niewielkiej wsi Nowofontanka prowadzi przez mostek. Obok stoją wraki dwóch zniszczonych rosyjskich ciężarówek. Kamazy przewoziły pociski do gradów, ale zepsuły się, kiedy przejeżdżała tędy rosyjska kolumna, i Rosjanie je zostawili na pewien czas. Jak opowiada Switłana, miejscowi zlali ropę z baków i pocięli wszystkie koła. Kiedy Rosjanie wrócili, to nie pozostawało im nic innego, jak samym zniszczyć ciężarówki, a te wybuchły i część pocisków od gradów rozrzuciło po rzece.

Na obrzeżu wsi Nowofontanka mieszkał 47-letni Serhij. Mężczyzna też walczył na Donbasie. Jego ciało zostało ekshumowane na początku maja, a 13 maja odbył się jego pogrzeb. W marcu Rosjanie przyjechali do jego domu, kiedy rąbał drzewo. Byli przekonani, że przekazywał ukraińskim żołnierzom informacje o ich pozycjach. Miejscowi są przekonani,

że ktoś ze swoich go wydał. Rosjanie zabrali go i jeszcze dwóch mężczyzn za wieś. Tam Serhija torturowali, a potem jego i jeszcze jednego mężczyznę zastrzelili. Trzeciemu udało się uciec.

Switłana po przepędzeniu Rosjan już oficjalnie objęła stanowisko starosty. W maju 2022 roku jej poprzednik cały czas walczył na froncie, podobnie jak 50 innych mężczyzn z Pluszcziwki.

Uciec przed okupantami (obwód chersoński)

O ile obwód mikołajowski znalazł się tylko pod częściową okupacją, a do tego ukraińskim żołnierzom udało się dzięki udanej obronie i kontratakom w marcu i kwietniu wyzwolić jego sporą część, o tyle sąsiedni obwód chersoński został praktycznie w całości zajęty przez Rosjan. Sam Chersoń był jedyną stolicą obwodową zdobytą przez Rosjan.

We wcześniejszych latach, nawet w niektórych ukraińskich mediach, można było natknąć się na stereotypy o prorosyjskim południu. Owszem, byli, jak w innych regionach, tacy, którzy rzeczywiście ucieszyli się z nowej władzy przyniesionej na bagnetach, i tacy, którzy poszli otwarcie na współpracę z okupantami. Ale nie to było przyczyną szybkiego zajęcia południa Ukrainy, ale popełnione błędy i zdrada. Zresztą stereotyp prorosyjskiego południa złamali jej mieszkańcy, którzy wychodzili protestować w swoich miejscowościach z gołymi rękoma przeciwko uzbrojonym rosyjskim żołnierzom, oraz ci, którzy decydowali się na zbrojny opór.

W kwietniu 2022 roku podczas ukraińskiego kontrataku udało się wyzwolić kilkanaście wiosek na północy obwodu chersońskiego. Do tych wyzwolonych wsi na początku maja można było się dostać, jadąc okrężnymi drogami z Krzywego Rogu.

Głośny huk i pióropusz białego dymu od wystrzelonego pocisku przeciwlotniczego. Pocisk krótko manewrował w powietrzu. Na niebie pojawił się niewielki błysk, a po pewnym czasie dał się słyszeć odgłos eksplozji. Zestrzelony został prawdopodobnie rosyjski taktyczny dron

Orłan-12. Tego typu aparaty służą do rozpoznania i korygowania ognia artylerii. Dojeżdżamy do wioski. Na posterunku stoi mały autobus, na zewnątrz kilkunastu pasażerów, których dokładnie kontrolują ukraińscy wojskowi i funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. To uciekinierzy z Chersonia, którym udało się wyjechać. Od początku maja Rosjanie praktycznie nie wypuszczali ludzi na tereny kontrolowane przez Ukrainę.

– Droga w miarę normalnie, pojechaliśmy inną trasą i tam nas przepuścili. Nie zrozumiesz ich logiki. Chłopców na dwóch posterunkach rozbierali, oglądali wszystkie tatuaże i ich rzeczy – opowiada kierowca, który wywozi ludzi raz na tydzień.

Rozmawiamy krótko z pasażerami, są zdenerwowani, ale cieszą się, że udało im się wyjechać. W pewnym momencie na polnym skrzyżowaniu widoczna staje się samobieźna wyrzutnia przeciwlotnicza – siedzący w otwartych włazach żołnierze nie kryją radości. To oni zestrzelili kilkanaście minut wcześniej rosyjski dron. Teraz sami zmieniają pozycję, żeby nie stać się celem dla przeciwnika. My też musimy ruszyć, jeśli chcemy dotrzeć do dalszych wiosek. Towarzysząca nam łączniczka prasowa Karina mówi, że w każdej chwili Rosjanie mogą zacząć ostrzeliwać z artylerii rejon, gdzie stracili drona.

– Na pewno chcecie w tę stronę? Właśnie niedaleko strzelał ich czołg. No dobrze, wiecie, co robić, nie wysuwajcie się na górę i jedźcie szybko – stwierdził dowódca posterunku kilka kilometrów dalej.

To dziwne, bo z mapy wynika, że wieś, do której jedziemy, znajduje się ok. 10 kilometrów od linii frontu. Dopiero później Karina wyjaśniła, że Rosjanie często strzelają z czołgów „balistycznie”, czyli tak jak artyleria, i wtedy ich zasięg wzrasta do 10 km. Karina zna się na rzeczy, bo kształciła się na czołgistkę.

Szybko jechać się nie dało, droga nie pozwalała, za to był czas, żeby się rozejrzeć. Wieś położona jest między pagórkami, większa część w dolinie. W centrum widać zniszczoną szkołę. Kilku mężczyzn naprawia zerwaną linię energetyczną po wczorajszym ostrzale. To ryzykowne, ale

prąd jest potrzebny, bo z pięciuset mieszkańców wciąż żyje tu niemal dwieście osób.

– Sytuacja jest bardzo napięta. Rosjanie strzelają do nas z gradów i artylerii. Czasami w nocy, czasami nad ranem, a niekiedy w dzień. Wczoraj ponad dziesięć sztuk przyleciało od razu – mówi Dina Wasilewna, sołtys wsi Zahradiwka.

Rozmawiamy na ulicy niedaleko od jej domu. Słysząc wystrzały i eksplozje, gdzieś wokół wioski. Tylko w maju we wsi zginęła jedna kobieta, a sześciu mieszkańców zostało rannych, w tym troje ciężko.

– Wszyscy mieszkamy tu w strachu, chociaż wielu ludzi już wyjechało. Ewakuowaliśmy ich, w tym do Polski. Dziękujemy wam, że przyjęliście nasze dzieci i ich mamy, że mogą spać bez strachu, nie słysząc tych wybuchów.

W wiosce wiele budynków jest uszkodzonych, w niektórych tylko drzwi i okna, ale trzydzieści zostało zniszczonych niemal całkowicie. Sołtysowa mówi, że już nauczyli się rozpoznawać, kto i z czego strzela, kiedy trzeba się chować. Tylko że, jak mówi, często to chwila i następuje eksplozja. Po prostu padasz na ziemię tam, gdzie stoisz.

Wszyscy miejscowi deputowani wyjechali i z władzy została tylko ona. Organizuje i rozdziela pomoc humanitarną, ale zajmować się tym jest coraz trudniej. Brakuje benzyny, wcześniej mogła objeżdżać domy, żeby nie narażać mieszkańców. Rozmowę przerywa głośnie eksplozja.

– I tak cały czas... Strasznie, ale nie mogę ich porzucić. Będzie, jak Bóg zechce. Ci, którzy zostali, sadzą w ogrodach. Mamy wielką nadzieję, że do jesieni zwyciężymy, i nie chcemy, żeby przez wojnę był jeszcze głód. Sadzimy, trzymamy zwierzęta, chociaż wiele z nich zabiły odłamki – dodaje Dina i płacze.

Słysząc kolejne wybuchy, sołtysowa nie chce nas narażać. Życzy nam bezpiecznej drogi i płacze, żegnając się z nami.

Zahradiwka była jedyną wsią z gromady nieokupowaną przez Rosjan. Chociaż ci próbowali ją kilka razy zająć. Raz udało im się nawet dojść

do skraju. Ograbili jeden dom, ale ukraińscy żołnierze szybko ich stąd odrzucili. Pobliskie wsie znalazły się w rosyjskich rękach 13 marca.

– Strach było tylko o wnuczkę. Teraz jest w mieście, ale jak tylko słyszy syrenę, to się boi. Dzwoni do mnie i pyta: „dziadek, a bombardować nie będą?”. No to ją uspokajam i mówię, że nie – opowiada napotkany w następnej wsi mężczyzna.

Najpierw przedstawia się po rosyjsku „Nikołaj”, ale od razu poprawia po ukraińsku „Mykoła!”.

– Po tym wszystkim, co te bydlaki tu narobili, tylko Mykoła. Całe życie ludziom zniszczyli. Półtora roku nie paliłem, wcześniej 41 lat, tak ciężko było rzucić, a teraz znów zacząłem – dodaje.

Kiedy weszli Rosjanie, wywiózł rodzinę w bezpieczne miejsce, ale sam wrócił. Tłumaczy, że nie mógł zostawić domu, który sam zbudował, chociaż widział, jak Rosjanie ostrzelali samochód, który jechał przez wieś. Na miejscu zginął mężczyzna, nie wie, czy przeżyła kobieta z dzieckiem.

Rosjan nie ma tu już od kilku tygodni, ale wciąż jest niebezpiecznie.

– Strzelają dzień i noc. Przyzwyczać się nie mogę, kto wie, gdzie to polecą – tłumaczy Mykoła, a jego słowom towarzyszą odległe, ale głośnie wybuchy.

W sąsiedniej wsi, która również została wyzwolona pod koniec marca, na jednym z podwórzy uwagę zwraca młoda kobieta z dzieckiem na ręku. Dzieci tutaj to nadal nie tak częsty widok.

– Zadzwonili do nas znajomi i powiedzieli, że Rosjanie znajdują się już w sąsiedniej wiosce. Schowaliśmy niektóre rzeczy, a sami schowaliśmy się niedaleko w gęstych chaszczach z dziećmi swoimi i sąsiadów. Myśleliśmy, że przejadą i tyle. Mąż wrócił do domu zabrać skuter, kiedy nagle wyjechało pięć rosyjskich transporterów. Jeden z nich przejechał przez pole i zaczął strzelać w naszym kierunku – mówi spokojnie Iryna.

Uciekali przez zarośla, ciągnąc ze sobą jeszcze dużego psa. Rosjanie musieli widzieć, że tam są dzieci, ale strzelali za nimi jeszcze z karabinu maszynowego.

– Mała jeszcze przez miesiąc pytała, czy jej nie zastrzelą.

Kilkuletnia dziewczynka chowa się za mamą, trzymając ją za nogi. Wokół wciąż słychać odgłosy artyleryjskich wystrzałów.

– Przyjechaliśmy do domu cztery dni po tym, jak weszli tu nasi. Najpierw, żeby posadzić w ogrodzie, a wkrótce już na stałe.

Ale jej mąż był tu też wcześniej, kiedy okolice były jeszcze zajęte przez Rosjan.

– Obok przystanku stał uszkodzony ich bojowy wóz piechoty. Mój mąż z sąsiadem przyszedł tu pieszo pięć kilometrów z miejsca, gdzie się ukrywaliśmy. Wyciągnęli z transportera całe uzbrojenie i oddali naszym chłopcom – śmieje się Iryna.

Rosjanie ukradli część rzeczy z ich domu, w tym naczynia. Budynek pozostał jednak niemal nieuszkodzony – tylko z jednej strony wybito okna.

– Mała wciąż się boi i nie śpi po nocach. Bywa, że od wybuchów ściany się trzęsą. My to przywykliśmy do tego ciągłego „ba-bach”. Wiemy już, kiedy to wylot i przylot i skąd – mówi Iryna.

Ponad dwadzieścia kilometrów na południe znajduje się Wętyka Ołeksandriwka. Miejscowość jest pod okupacją. 23 letni Anatolij mieszkał tam z matką i trzyletnim synem, którego sam wychowuje. W marcu najpierw do wioski weszli młodzi żołnierze, do tego słabo uzbrojeni. Początkowo ludzie wychodzili na protesty w pobliżu Domu Kultury, ale wkrótce pojawili się kadyrowcy, byli nie tylko lepiej wyposażeni, ale też brutalniejsi.

– Protesty szybko się skończyły, najpierw strzelali w powietrze, a kiedy ludzie się rozeszli, to wystrzelili z czołgu w Dom Kultury – mówi Anatolij.

Dla niego problemy zaczęły się wraz z pojawieniem się kadyrowców.

– Oni byli straszni. Kiedy przyszli, to prosiłam ich, żeby nie zabijali psa, bo on jest stary i nie słyszy. Jak tylko mój syn wyszedł, to tego kadyrowca jakby ktoś uderzył obuchem, aż podskoczył. Od razu chciał go zabrać. Pytałam: „po co, gdzie, co on wam zrobił?” – opowiada jego matka Inna.

Ale zobaczyli małego syna Anatolija i tym razem go zostawili. Drugi raz zatrzymali go, jak jechał samochodem, sprawdzili dokumenty, kazali się rozebrać i mocno pobili, ale puścili. Za trzecim razem było już znacznie gorzej i niebezpieczniej.

– U nas ludzie podzielili się na dwie części, jego ktoś zdradził. Nie mogli przecież Rosjanie wiedzieć, że on kontaktuje się z walczącymi przyjaciółmi. A on nie mógł zdradzić swoich chłopców. Powiedział, że raczej umrze, niż ich zdradzi – opowiada jego matka, płacząc.

Zabrali go z domu do swojej bazy w szkole.

– Kazali mi klęczeć, zakładali mi torbę na głowę i bili. Dawali automat w ręce i mówili, że zastrzelą przy próbie ucieczki. Bawili się, wrzucając mi granat za koszulę. Znęcali się tak przez dwa dni i nagrywali to na wideo – mówi Anatolij.

Ostatecznie puścili go do domu, ale Anatolij wiedział, że następny raz może być już ostatnim. Jego sąsiada, który służył w obronie terytorialnej, ale nie zdążył wyjechać ze wsi, też ktoś wydał i chłopak przepadł. Innych mężczyzn też zatrzymywali. Wioska wydawała się całkowicie odcięta. Przynajmniej tak myśleli okupanci, którzy wysadzili wszystkie przeprawy i wszędzie wystawili swoje posterunki.

– Była Wielkanoc, syn powiedział: „mamo, albo uciekamy, albo nas wszystkich zastrzelą”. Wzięliśmy samochód sąsiadów. Myśleliśmy, że ludzie przeprowadzą nas przez rzekę, ale nikogo nie było. Pojechaliśmy wzdłuż brzegu, zobaczyliśmy po drugiej stronie łódkę. Syn zdjął rzeczy, wskoczył do wody i wrócił z łódką. Posadził nas, a sam pchał nas, płynąc – mówi, płacząc Inna, matka Anatolija.

Na drugim brzegu przenocowali, a następnego dnia szli, chowając się, dopóki nie dotarli do Orłowe.

– Tam nas zabrali nasi żołnierze – nasi chłopcy. I wtedy dopiero syn powiedział mi, że cały czas się trząsał, w każdej sekundzie bał się, że nas złapią i zabiją.

Później ich sąsiadka opowiedziała przez telefon, że okupanci przyjechali do ich domu kilka godzin po ich ucieczce, wybili drzwi i strzelali. Szukali ich jeszcze przez dwa dni.

– Byli bardzo źli. Ludzie mówili, że gdybyśmy nie wyjechali, to na pewno by nas zabili – mówi Inna.

Anatolij jest pewny, że wielu z rosyjskich żołnierzy zdecydowało się wziąć udział w tej awanturze, bo chcieli zarobić pieniądze. Chwalili się, co kupią po powrocie, a do tego rabowali rzeczy z ukraińskich domów. Co prawda później Rosjanie zaczęli między sobą częściej mówić, że raczej żywi z tej wojny nie wrócą. I być może właśnie dlatego tak znęcają się nad ludźmi.

– To straszne. Jeśli ktoś mówi, że chce, żeby Rosjanie przyszli do jego domu, to niech przyjedzie na Chersońszczyznę i spróbuje tutaj chociaż kilka dni pożyć. Strasznie, kiedy łupie i nie wiesz, gdzie schować dziecko – mówi Inna.

Kobieta jeszcze w lutym pracowała w Polsce, wróciła do domu pięć dni przed początkiem wojny. Anatolij też jeździł do pracy w Polsce, ale teraz szuka dla nich mieszkania w Krzywym Rogu.

– Boże, czy naprawdę im brakuje szarych klepek. Jak można było uwierzyć, że my chcieliśmy na nich napaść? – zastanawia się Inna.

Anatolij uważa, że rosyjscy żołnierze są odważni tylko wtedy, kiedy celują z broni do bezbronnych cywili. Chętnie by z nimi porozmawiał, sam trzymając w rękach automat.

Ukraińskie ziemie wciąż pod okupacją

Jesienią 2022 roku Siły Zbrojne Ukrainy przeprowadziły dwie udane kontrofensywy. Najpierw wyzwoliły znaczną część obwodu charkowskiego, a następnie fragment obwodu mikołajowskiego i prawobrzeżną

część obwodu chersońskiego, włącznie z Chersoniem. Wolność odzyskało wielu Ukraińców, ale nie wszyscy dożyli tego momentu. W Iziumie znaleziono masowe groby, w których pochowano ponad 440 osób. Część z nich zginęła w wyniku ostrzałów, ale niektórzy byli torturowani i zostali straceni. Rosjanie zabijali również w Chersoniu tych, których podejrzewali o współpracę z ukraińskimi służbami lub armią. Zarówno na Charkowszczyźnie, jak i w Chersoniu odnaleziono liczne katownie, w których torturowano Ukraińców. Rosjanie wywieźli z tych terenów ukraińskie dzieci, co zostało uznane przez Międzynarodowy Trybunał Karny za zbrodnię wojenną.

W lipcu 2023 roku pod rosyjską okupacją znajdowała się lewobrzeżna część obwodu chersońskiego, znaczna część obwodu zaporoskiego, Mierzeja Kimburska należąca do obwodu mikołajowskiego, niewielki fragment obwodu charkowskiego oraz niemal cały obwód ługański i znaczna część donieckiego, a także cały Krym. Ale – kiedy książka ta trafi do czytelnika – sytuacja może się zmienić. Od początku czerwca 2023 roku ukraińskie wojska atakują zarówno na wschodzie, jak i na południu w obwodzie donieckim i zaporoskim. A ukraińskie władze zapewniają, że wojna może się zakończyć tylko w przypadku odzyskania wszystkich terytoriów będących w granicach Ukrainy z 1991 roku.

Materiał do opisanych powyżej historii został zebrany w okresie kwiecień – czerwiec 2022 roku na terenie obwodów: kijowskiego, sumskiego, mikołajowskiego i chersońskiego. Fragmenty były wcześniej publikowane na łamach różnych wydań, przede wszystkim w korespondencjach dla „Gazety Wyborczej”.



Mikołaj Susujew

Wojna obronna po rosyjsku

Trwa siedemnasty miesiąc rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Wiele etapów wojny mamy już za sobą, ale być może wiele ich jest jeszcze przed nami. Osoby, które w krajach zachodnich na co dzień zajmują się analizą sytuacji bezpośrednio na froncie i geopolitycznej sytuacji związanej z wojną, zdążyły sformułować wiele przewidywań, które kompletnie się nie sprawdziły. Jeden z takich obszarów, w których większość – publikowanych na początku wojny – przewidywań zachodnich analityków się nie sprawdziła, dotyczy nastrojów rosyjskiego społeczeństwa.

Dobrze pamiętam dyskusje na temat, jak straty ponoszone na froncie przez armię Federacji Rosyjskiej wpłyną na nastroje społeczne. Jak prawda o ogromnych stratach, o których zaczną opowiadać powracający z frontu mężczyźni, zostanie skonfrontowana z oficjalną propagandą i jak to wszystko razem może wywołać nastroje antywojenne, które z kolei mogą wywrzeć nacisk na kremłowski reżim. Wszak wiele osób ciągle ma przed oczami wiece matek żołnierzy walczących w pierwszej wojnie czeczeńskiej, domagających się powrotu ich synów z tej bezsensownej

wojny. A rosyjska armia poniosła w Czeczenii wielokrotnie niższe straty, walcząc przy tym o integralność terytorialną własnego kraju.

Na początku wojny wielu analityków zakładało też, że w rosyjskiej armii inna motywacja kierowała zawodowymi żołnierzami, kontraktowymi, którymi była ukompletowana armia inwazyjna na początku 2022 roku, a inna osobami powołanymi na podstawie częściowej mobilizacji do tej armii dla uzupełnienia strat w drugiej połowie tego samego roku. Zmobilizowani Rosjanie walczą na froncie już co najmniej dziewięć miesięcy. Ich procent w siłach zbrojnych Rosji w porównaniu z żołnierzami zawodowymi stale rośnie i można założyć, że pod koniec wojny rosyjska armia będzie pod tym względem zupełnie inna niż ta, która wojnę zaczęła. Mimo że giną oni teraz masowo na froncie – czasem całymi batalionami od ukraińskich uderzeń raketowych, jak to miało miejsce w noc sylwestrową w okupowanej przez Rosjan Makiejewce – nadal nie spowodowało to żadnej wyraźnej reakcji społecznej czy znaczącego wzrostu nastrojów antywojennych. Żadnych wieców matek, żon i córek zmobilizowanych mężczyzn, które oczekują ich powrotu do domu, nie ma we współczesnej Rosji. A na tych nielicznych, które jednak są organizowane, domagają się one czegoś zupełnie innego dla powołanych do wojska niż zakończenia rozlewu krwi na Ukrainie.

I myślę, że to dobry czas, żeby skorygować nasze myślenie o Rosjanach i zastanowić się, dlaczego sytuacja wygląda tak, a nie inaczej. Jaka jest rzeczywista motywacja tych ludzi, którzy zostawiają swoje rodziny i idą walczyć w obcym kraju? Jakie są realne nastroje społeczne Rosjan i jak oni traktują tę wojnę? Jak postrzegają Ukrainę i Zachód po siedemnastu miesiącach walki i jak widzą przyszłość tej wojny? Poszukiwanie odpowiedzi na te pytania jest sprawą ogromnej wagi, ponieważ to determinuje rozwój wydarzeń w naszym regionie w najbliższych latach czy nawet dziesięcioleciach. W chwili obecnej Rosja jest jedynym realnym i bezpośrednim zagrożeniem dla Polski i musimy zrozumieć, czego Rosjanie chcą dziś dla siebie i w którą stronę będą chcieli pokierować swój kraj w przyszłości.

Dodam jeszcze, że próba zrozumienia Rosjan nie oznacza w żadnym wypadku usprawiedliwienia ich działań. Natomiast jest to próba wyjaśnienia rosyjskiego sposobu postrzegania rzeczywistości, co jest niezbędne, żeby prawidłowo formułować swoją odpowiedź na agresywne działania Rosji.

Ukraińcy nie istnieją

W każdym kraju istnieje historia jako nauka i historycy jako naukowcy chętni dotrzeć do obiektywnej prawdy historycznej, opartej na konkretnych, niezależnych źródłach informacji, i istnieje też mit historyczny. Ten mit jest pewnym stereotypowym i uproszczonym obrazem historii własnego kraju i narodu, istniejącym w głowie każdego przeciętnego obywatela tego kraju. To jest to, czego uczą go od dziecka w szkole, i co jest przyjęte za pewien standard rozumienia własnej historii w społeczeństwie. Ten mit zawsze się różni od prawdy historycznej, ale w pewnych społeczeństwach jest bliżej niej, a w innych – dalej. W państwach autorytarnych i totalitarnych często dochodzi po prostu do likwidacji historii jako obiektywnej nauki na rzecz mitu, który jest szeroko propagowany w narodzie. W Rosji do niedawna nauka historyczna istniała i nawet miała swoich godnych przedstawicieli, którzy brali udział w publicznych dyskusjach na tematy historyczne. Tak było jeszcze 10-15 lat temu, kiedy państwo ograniczało te dyskusje, ale nadal miały one miejsce. Te dyskusje odbywały się również na uczelniach, na poziomie profesjonalnym. Jednak w Rosji, gdzie państwo skutecznie tłumilo proces kształtowania się społeczeństwa obywatelskiego, gdzie kontrola państwa nad przestrzenią informacyjną stale się wzmacniała, a przestrzeń dla otwartej rozmowy o rzeczach ważnych stale się kurczyła, ten mit historyczny bardzo wyraźnie odstawał od akademickich prób ustalenia obiektywnej prawdy historycznej i dystans między nimi stale rósł. Aż w końcu państwo w zasadzie wróciło do praktyk epoki

radzieckiej, gdzie każda alternatywna wersja historii poza tą oficjalną zaczęła być uznawana za zdradę. Więc alternatywny pogląd nie tylko przestał być popularny, ale też zaczął znikać z przestrzeni publicznej. W kręgach akademickich także zaczął być tłumiony jako niezgodny z interesami państwa i narodu.

Zwykli Rosjanie natomiast, którzy przyswoili ten mit historyczny jeszcze w okresie Związku Radzieckiego, alternatywnych poglądów na ogół nie zdążyli przyjąć. Krótki okres względnej wolności słowa w latach 1991-2010 nie zdążył na stałe zmienić sposobu postrzegania przez Rosjan otaczającego ich świata i roli w nim ich narodu. Więc nasilenie państwowej propagandy, tak powielającej stare historyczne mity, jak i tworzącej nowe, zostało przez Rosjan odebrane jako powrót do normalności. Natomiast okres, w którym mogli zetknąć się z alternatywnymi poglądami, na ogół odbierali jako okres nasilenia wrogiej propagandy, która próbowała odebrać im „wielką” historię ich narodu. W ten sposób mit historyczny stał się w ich świadomości jedyną akceptowalną wersją historii.

Co to wszystko ma wspólnego z Ukrainą? Ważne, by zrozumieć, że ten mit po prostu nie przewiduje istnienia Ukraińców i Białorusinów jako odrębnych od Rosjan narodów i tym bardziej nie przewiduje, by były to narody zdolne do tworzenia własnej państwowości. Ich rolą jest najwyżej współtworzenie wspólnego państwa, w którym jednak głównym źródłem siły jest naród rosyjski. Przy czym radziecka wersja tego mitu nieco różni się od współczesnej wersji rosyjskiej w kwestii stosunku do Ukraińców. W Związku Radzieckim, który w założeniu miał być uniwersalnym sojuszem bardzo różniących się od siebie narodów, które w teorii miały żyć jak równy z równym, ten mit mówi o zjednoczeniu Ukraińców z Rosjanami i istnieniu w ZSRR obu narodów jako braterskich. Natomiast współczesna Rosja w pewnym sensie wraca do koncepcji istniejących w Imperium Rosyjskim. Ten mit przewiduje istnienie jednego narodu rosyjskiego, który zwyczajnie ma pewne regionalne odmienności. Ukraińcy w tej koncepcji są po prostu południową

odmianą Rosjan. Różnice pomiędzy narodami są traktowane jako zwykłe „regionalizmy”. Dla wielu Rosjan Ukraińcy różnią się od nich mniej więcej w takim samym stopniu, w jakim mieszkańcy Moskwy różnią się od mieszkańców Krasnodaru czy Powołża. Nie więcej. A to z kolei rzutuje dość mocno na odbiór tej wojny przez Rosjan. Istnienie Ukrainy jako niepodległego kraju jest traktowane jako tymczasowe nieporozumienie i niesprawiedliwione oderwanie części Rosji od macierzy. Mówiąc wprost – jako separatyzm. Wtedy wojna przestaje być traktowana jako podbój obcego narodu i przekształca się w walkę o „swoją ziemię”, walkę z separatyzmem o jedność swego kraju. Źródłem takiego postrzegania wojny jako usprawiedliwionej jest właśnie mit historyczny, obecny w głowach tych ludzi i włączany im nawet nie przez lata czy dziesięciolecia, ale stulecia. Bo, jak już zauważyłem, wiele elementów ten mit zapożyczył jeszcze od Imperium Rosyjskiego.

Podsumowując ten wątek, z punktu widzenia rosyjskiego poglądu na własną historię, wojna na Ukrainie jest wojną o ponowne zjednoczenie kraju i walką z separatystami. Pod tym względem celem nie może być opanowanie jakiegoś terytorium na Ukrainie, tylko likwidacja Ukrainy jako takiej. Rosjanom łatwiej jest podzielić Ukrainę między inne państwa (co ich propaganda co jakiś czas sugeruje Polakom, Rumunom i Węgrom), niż zostawić jakąkolwiek część tego kraju jako niezależną. Bo jeżeli na przykład uważają, że nie mogą utrzymać zachodniej Ukrainy, wolą uznać, że ta część kraju jest na tyle spolonizowana, że mentalnie jej mieszkańcy już są Polakami. Byle tylko nie uznawać istnienia Ukraińców jako odrębnego narodu ze swoją kulturą i językiem.

Moskwa – Trzeci Rzym, a czwartego już nie będzie

Autorem tej słynnej koncepcji był pskowski mnich Filofej, żyjący w XVI wieku. Wydawałoby się, że niewiele wspólnego mogą mieć tak odległe od nas idee z rzeczywistością dnia dzisiejszego. A jednak w Rosji nadal ta idea jest żywa i można powiedzieć, że w pewnej formie nawet

przewodnia. Skąd to się bierze? W pewnym sensie jest to po prostu koncepcja Rosji jako państwa – imperium. Współczesna Europa jest sojuszem państw narodowych, więc dla nas koncepcja państwa niemającego granic (jak swego czasu Putin określił Rosję) jest niezbyt zrozumiała. Dla Rosjan jest naturalna. Imperium nie jest państwem narodowym. To jest struktura wchłaniająca w siebie inne narody. Zdolna do skutecznej asymilacji tych narodów, wykorzystująca ich zasoby i ludność do wzmacniania swego centrum.

Koncepcja Trzeciego Rzymu jest związana z poprzednim punktem – z rosyjskim mitem historycznym. A w zasadzie jest jego częścią, bo ten mit jest też mitem imperialnym. W jego ramach istnieje jeden spójny ciąg wydarzeń historycznych od powstania Rusi Kijowskiej aż do współczesnej Rosji Putina, który determinuje rozwój Rosji jako imperium. Rosjanie myślą o sobie jak o odrębnej cywilizacji, która nie jest ani częścią świata Zachodu, ani Wschodu. Jest łącznikiem między nimi i w myśli Rosjan – samoistnym organizmem. W ramach takiego postrzegania świata prawdziwe imperium może być tylko jedno – w ramach tego, co Rosjanie określają jako „Russkij mir”, czyli przestrzenią łączącą w naszym regionie ziemie podobne do ich własnej kultury i języka. „Russkij mir” nie ma właściwych granic, bo może istnieć wszędzie, gdzie sięgają rosyjskie wartości, kultura i język. Nie muszą to być narody słowiańskie, bo Rosja w swojej historii zasymilowała wiele narodów wschodnich. Ale bliskie Rosjanom słowiańskie narody grają w tej koncepcji rolę zasadniczą. W szczególności Ukraina. Wszystko za sprawą tego, że serce Ukrainy, rozwijającej się jako odrębne państwo, to tereny, które są kluczowe dla imperialnego mitu rosyjskiego. Rosja odwołuje się do spadku po państwie Rusi Kijowskiej, które przejąć miało kulturę, religię i idee imperialne od Konstantynopola. Te idee wraz z upadkiem Kijowa miały się po prostu przenieść do Moskwy jako nowej stolicy tego samego państwa – i właśnie w ten sposób powstała koncepcja Trzeciego Rzymu. Kijów jest tu jednym z kluczowych ogniw tego historycznego łańcucha.

W sytuacji, kiedy Ukraina jest niezależna i buduje swoją tożsamość narodową, zaczyna też formować swój własny mit historyczny. Nie dość, że sam fakt istnienia na tym terenie niezależnego od Rosji państwa rozbija spójność „Russkiego miru”, to w dodatku Ukraina w naturalny sposób zaczyna odwoływać się do spadku po tym samym organizmie państwowym Rusi, co Rosja. Ukraina podkopyje w ten sposób fundament rosyjskiej koncepcji imperialnej. I ponieważ współczesna Rosja nie może zaoferować zbyt wiele swoim sąsiadom, bo nie ma przewagi nad nimi ani pod względem poziomu życia, ani rozwoju technologii, ani kultury, to jedyną odpowiedzią, która jej zostaje, jest – brutalna siła. Rosja nie jest w stanie przyciągnąć sąsiednich narodów atrakcyjną ofertą cywilizacyjną. Nie może zintegrować tej przestrzeni w sposób pokojowy. Dlatego działa jak monopolista, który czuje zagrożenie ze strony nowej, aktywnie rozwijającej się firmy, a nie będąc w stanie konkurować na równych dla wszystkich zasadach, stara się zniszczyć konkurenta, zanim wyrośnie i zrujnuje jego monopol. Stąd tak głębokie dążenie nie do tego, by zwyczajnie wygrać z Ukrainą wojnę, ograniczając jej suwerenność (na przykład narzucić jej kontrolę nad polityką zagraniczną kraju, jak niegdyś to miało miejsce z Finlandią), ale do tego, by zniszczyć ukraińskie państwo jako takie. Putin często powtarza, że stworzenie ukraińskiego państwa, w jego rozumieniu przez Sowieców, było ogromnym błędem, który powoduje poważne problemy dla dzisiejszej Rosji. I nie jest to spowodowane po prostu tym, że on nie zna historii i nie wie o wcześniejszych próbach stworzenia niezależnego państwa przez Ukraińców. To wynika z jego przekonania, jak groźne dla Rosji jest samo istnienie tego państwa. Rosja, która na stałe traci Ukrainę i godzi się z jej odrębnym istnieniem, to zupełnie inne państwo, w którym jego imperialna koncepcja, idea Trzeciego Rzymu, istnieć po prostu nie może. Więc to jest Rosja, która będzie musiała redefiniować sama siebie od wewnątrz. Która będzie musiała przyswoić sobie nową tożsamość.

Denazyfikacja Ukrainy

Czy ktoś z Państwa zadał sobie kiedyś pytanie, dlaczego właśnie to dziwne określenie Rosjanie przyjęli jako jeden z głównych celów swojej kampanii na Ukrainie? Dlaczego denazyfikacja w stosunku do kraju rządzonego przez prezydenta pochodzenia żydowskiego? Dlaczego nie określić jakiegoś bardziej jasnego dla świata celu, który dla wielu mógłby się wydawać o wiele bardziej wiarygodny? Na przykład najbardziej oczywistego, takiego jak obrona etnicznych Rosjan we wschodnich regionach Ukrainy, czy ochrona kultury rosyjskojęzycznych Ukraińców ze wschodu i z południa kraju przed przymusową ukrainizacją.

Koncepcja Ukrainy nazistowskiej to klasyczny przykład dehumanizacji przeciwnika. Procesu, który w Rosji postępował od pierwszych lat niepodległości Ukrainy i był oparty na pewnych schematach propagandowych rodem jeszcze z ZSRR. Jak wspomniałem już w poprzednim punkcie, Rosjanie nie mogą pogodzić się z niezależnym od nich istnieniem państwa ukraińskiego dlatego, że sam fakt jego istnienia podważa ich imperialną tożsamość. Więc naturalną reakcją w tej sytuacji jest odmawianie Ukraińcom prawa do nazywania się pełnowartościowym narodem. Trzeba Ukraińców upokorzyć. Trzeba stworzyć odpowiedni obraz Ukraińców, którzy tylko w sojuszu z Rosją mogą być dobrzy, szczerzy, utalentowani. Bez Rosjan nie są zdolni do niczego oraz są źli i chciwi. Popadają w skrajne ideologie, takie właśnie jak nazizm. Masowe zabijanie Ukraińców, tych ludzi, których publicznie nazywa się „takimi samymi Rosjanami jak my”, może wywołać dysonans w głowach rosyjskich żołnierzy. Co innego zabijać nazistów. Ukraińcy, ci dobrzy ludzie, którzy żyli z nami (Rosjanami) przez wiele stuleci, są po naszej stronie. Oni znajdują się po prostu pod okupacją zdrajców – nazistów. Walka z nazistami w tej koncepcji jest walką o uwolnienie Ukrainy. W pewnym sensie to jest dość banalny chwyt dla samozaspokojenia żołnierzy armii inwazyjnej. Rosjanie chętnie przyswajają taką koncepcję, ponieważ nikt nie jest w stanie znieść ciężaru uświadomienia sobie, że w tej sytuacji jest się samemu złem.

Rosjanie chcą wierzyć, że są dobrem i walczą w słusznej sprawie, więc chętnie okłamują samych siebie.

Poza tym trzeba zrozumieć, że wątek nazistów na Ukrainie ma też swoje korzenie w propagandzie antyzachodniej. Te korzenie sięgają II wojny światowej. Związek Radziecki za wszelką cenę chciał wymazać pamięć o tym, jak ta wojna się rozpoczęła i jaka była rola ZSRR w roku 1939. Wymazać pamięć o ataku na Polskę i tajnych porozumieniach z Trzecią Rzeszą. O dostarczaniu do Niemiec zasobów naturalnych w czasie, kiedy niemiecka armia walczyła we Francji. O szkoleniu niemieckich pilotów i czołgistów w ZSRR w czasie, kiedy jeszcze działały ograniczenia nałożone na Rzeszę traktatem wersalskim. W ten sposób propaganda radziecka stworzyła koncepcję, która do dziś twardo siedzi w głowach Rosjan. O wielkiej wojnie przeciwko nazizmowi, w której Rosja sama rozbiła nazistowski sojusz narodów europejskich (to jest często podkreślane w rosyjskiej narracji, a armia Rzeszy jest nazywana armią europejską) i wyzwoliła Europę. Natomiast sojusznicy, w postaci Wielkiej Brytanii i USA, finansowali nazistowskie Niemcy i wspierali je aktywnie po to, by ten kraj zaatakował ZSRR. Do aktywnych działań dołączyli zaś dopiero pod koniec wojny tylko po to, by ugryźć jakiś kawałek dla siebie i nie pozwolić ZSRR osiągnąć pełnego triumfu w Europie. To jest koncepcja, w której Zachód chce zawsze zniszczyć Rosję i opanować jej ogromne zasoby i tak samo jak kiedyś USA i Wielka Brytania stworzyły (według Rosjan) antyrosyjskie, nazistowskie Niemcy, tak i teraz Zachód stworzył nazistowski reżim w Kijowie, którego zadaniem jest zniszczenie Rosji. W ten sposób stara koncepcja radziecka została dostosowana do współczesnych realiów putinowskiej Rosji. Dzisiejsza propaganda w ten sposób dodatkowo stara się grać na sentymentach Rosjan związanych z tzw. Wielką Wojną Ojczyźnianą i zbudować pomost pomiędzy walką dziadków i pradziadków, obecnych obywateli tego kraju, a współczesnymi żołnierzami umierającymi na Ukrainie.

Wielka wojna z Zachodem

Kolejnym ważnym wątkiem, który pomaga Rosjanom usprawiedliwić tę wojnę, jest koncepcja ingerencji Zachodu w rosyjską strefę wpływów. Rosjanie co prawda nie nazywają jej wprost strefą wpływów, ale sens tego, co mówią, sugeruje dokładnie to pojęcie. Rosjanie traktują obecną wojnę nie jak osobne wydarzenie, ważne samo w sobie, ale raczej jako część walki tego kraju z wrogimi siłami na Zachodzie. W tym sensie ta wojna jest przez nich w pełni uważana za obronną. I muszę przyznać, że niestety również na Zachodzie istnieje grupa dość wpływowych analityków, którzy w części albo w całości przyjmują tę rosyjską koncepcję i za wybuch wojny wolą obarczać swoje rządy niż prezydenta Putina. To jest oczywiście koncepcja oparta na poglądach XIX-wiecznych, w której istnieją kraje wielkie i kraje mniejsze, których suwerenność może być ograniczana przez te pierwsze. Te wielkie państwa zbierają się razem i decydują o losach kontynentu czy świata, a mniejszym nie pozostaje nic innego, jak tylko podporządkować się regułom gry ustanowionym przez mocarstwa. W ramach takiego sposobu postrzegania świata istnieją naturalne granice stref wpływów różnych mocarstw. Mogą się zmieniać i o podział tych granic mogą wybuchać wojny gdzieś na peryferiach, ale do wojny między mocarstwami nie musi dochodzić, jeżeli obie strony będą uznawać zasadnicze interesy strony przeciwnej. To jest sens rosyjskiego ultimatum wystosowanego pod koniec 2021 roku w kierunku USA: Rosja wymagała dla siebie gwarancji bezpieczeństwa w regionach centralnej i wschodniej Europy. Rosjanie dość szczerze uważają, że postąpili uczciwie, proponując rozwiązanie problemów w stosunkach z Zachodem (tj. tego, co oni uważają za problemy) w sposób pokojowy. I tak samo szczerze uważają za upokorzenie fakt, że Amerykanie nie chcieli im oddać tego, co im się po prostu należy.

Rosjanie, żyjący w kraju, w którym państwo tłumilo powstające w latach 90. społeczeństwo obywatelskie, nie wierzą, by w innych krajach takie społeczeństwo mogło istnieć. Nie rozumieją, jak działa takie społeczeństwo w państwach demokratycznych. Każdy przejaw społecznego

sprzeciwu wobec władzy czy obcej inwazji w innym kraju Rosjanie uważają za działania służb specjalnych strony trzeciej. Nie mogą zrozumieć koncepcji oddolnej inicjatywy i samoorganizacji obywateli. Stąd ich przekonanie, że rozpad ZSRR jest wynikiem zdrady w elitach państwa – i niczego poza tym. Wiara w to, że Gorbaczow to agent Zachodu, jest dość powszechna w Rosji, a ten polityk jest w swoim kraju jedną z najbardziej znienawidzonych postaci w całej jego historii. Dla Rosjan jest oczywiste, że okres od rozpadu ZSRR do wojny na Ukrainie to jeden ciąg złowrogich działań Zachodu mających na celu rozpad i okupację Rosji. Epokę demokratyzacji Rosji pod rządami Jelcyna i wczesnego Putina Rosjanie uważają za lata upokorzeń i próbę siłowego narzucenia im zachodnich wzorców, które są dla nich nienaturalne i mają na celu rozsadzenie kraju od środka. Następnie, kiedy to się nie udało, Zachód rzekomo zaczął przejmować kraje sąsiadujące z Rosją. Przypomnę: te kraje, które w świadomości Rosjan są integralną częścią samej Rosji, tymczasowo utraconą z powodu ingerencji tegoż samego Zachodu w sprawy ZSRR. Tak Rosjanie odbierają rewolucje z roku 2004 i 2014 na Ukrainie – wyłącznie jako działania amerykańskich, brytyjskich i polskich służb specjalnych. Przy czym Polska odgrywa tutaj w świadomości Rosjan rolę głównego antyrosyjskiego narzędzia USA w Europie. Zgodnie z tą koncepcją to nie Rosja odstraszyła od siebie Ukrainę swoją agresywną postawą i nie ona ją potem zaatakowała. To zachodnie służby przejęły kontrolę nad tymczasowo utraconą południową częścią Rosji, zainstalowały antyrosyjski reżim, zindoktrynowały Ukraińców, wmawiając im, że są odrębnym narodem, sfinansowały powstanie ruchów radykalnych i wyhodowały ukraiński nazizm. I wszystko po to, by ten „potwór” później doczekał się momentu słabości Rosji i ją zniszczył. Rosja do ostatniej chwili próbowała porozumieć się pokojowo z Zachodem, oczekując zaprzestania agresywnych działań dosłownie na jej podwórku. I dopiero kiedy jej odmówiono i kiedy wszystkie wysiłki okazały się bezskuteczne, Rosji nie pozostało nic innego oprócz próby siłowego oczyszczenia Ukrainy z wrogich wpływów USA, Polski

i Wielkiej Brytanii. Rosja w obronie własnej zaczęła specjalną operację wojskową. I w rosyjskiej terminologii to nie bez powodu nosi taką nazwę. To wszystko jest częścią w pełni przemyślanej koncepcji postrzegania świata i tego konfliktu.

Warto też zauważyć, że inne jest podejście do Polski, USA i Wielkiej Brytanii, a inne do Niemiec i Francji w tej koncepcji. Moim zdaniem, to jawnie wskazuje, kogo Rosja widzi w roli możliwych partnerów, czyje wpływy chce usunąć z Europy (Wielkiej Brytanii i USA), a kogo nie widzi w roli suwerennego państwa, twierdząc, że to po prostu amerykańska forpoczta w Europie, która nie ma znaczenia (Polska). W swojej wewnętrznej narracji o stosunkach z Niemcami i Francją Rosjanie najczęściej ubolewają nad tym, że te kraje zostały zmuszone przez USA do wrogich w stosunku do Rosji działań. Że są to ofiary tej polityki, które działają w zasadzie na własną szkodę i cierpią z tego powodu.

Demilitaryzacja Ukrainy

Na Zachodzie istnieje cały szereg ekspertów, którzy nie tylko obarczają Zachód winą za to, że Rosja została zmuszona do podjęcia aktywnych działań, ale też równie często, szukając rozwiązania tej sytuacji, widzą jego rolę w zmuszeniu Ukrainy do przyjęcia neutralności. Zgodnie z takim myśleniem, Ukraina z ograniczonym potencjałem wojskowym, bez aspiracji dołączenia do struktur zachodnich (głównie NATO), z neutralnością wpisaną w konstytucję kraju, razem z gwarancją ochrony praw rosyjskojęzycznych obywateli Ukrainy, ma zakończyć konflikt i rozwiązać obawy Rosji. No bo jeżeli czuje się ona zagrożona z powodu rozszerzenia NATO na wschód, to zgodnie z tą logiką ma to zatrzymać wojnę.

Trzeba powiedzieć, że w samej Rosji demilitaryzacji Ukrainy i jej neutralności nikt nigdy nie rozpatrywał jako celu samego w sobie. Rosjanie traktują to jako cel taktyczny, który ma im po prostu ułatwić proces stopniowej likwidacji suwerenności Ukrainy i jej wchłonięcia. Nic poza tym. Z tego też powodu żadne ustępstwa wobec Rosji

nie mogą zatrzymać wojny, mogą tylko spowodować kolejne coraz bardziej agresywne działania z jej strony. Zresztą wydawałoby się, że tę lekcję zachodnie demokracje odrobiły jeszcze z premierem Chamberlainem i pewnym kanclerzem Niemiec, który lubił malować akwarele, ale nie – dziś te oczywiste rzeczy trzeba wielu osobom nadal tłumaczyć.

Geograficzny determinizm

To jest bardziej skomplikowana koncepcja, która jest zrozumiała już nie dla każdego zwykłego Iwanowa w Rosji. Służy głównie uzasadnieniu rosyjskiej agresji już w kołach politycznych i wśród lepiej wykształconych obywateli tego kraju. Tego typu tłumaczenie i usprawiedliwienie rosyjskiej agresywnej polityki można też znaleźć w komentarzach wielu zachodnich ekspertów, na popularnych kanałach o tematyce geopolitycznej w zachodnich sieciach społecznościowych i mediach. Ta koncepcja na ogół tłumaczy rosyjskie działania uwarunkowaniami geograficznymi. Terytorium Rosji jest jakoby tak ukształtowane, że serce tego kraju, jego najbogatsze i najbardziej zaludnione regiony są bardzo wrażliwe na atak z zachodu. Dowodem na to mają być inwazje francuska i niemiecka, wycelowane bezpośrednio w Moskwę. Ta wrażliwość rzekomo zmusza w naturalny sposób Rosję do ekspansji w celu dotarcia do naturalnych przeszkód geograficznych, na których ten kraj może oprzeć swoje granice. Poza tym utrzymywanie swoich wpływów w krajach Europy Środkowej w tej koncepcji jest również rozpatrywane jako działanie obronne. Chodzi o utrzymanie strefy buforowej pomiędzy tradycyjnie wrogimi Rosji USA i Wielką Brytanią a Rosją właściwą. Rosjanie chętnie odwołują się do tej koncepcji, bo racjonalizuje ich agresywną politykę i daje iluzję racjonalności rosyjskich działań dla zachodnich miłośników geopolityki – racjonalności w zachodnim rozumieniu tego pojęcia. Bo z punktu widzenia Rosjan ich sposób postrzegania świata, który opisałem w kilku poprzednich punktach, jest w pełni racjonalny

i uzasadniony. Natomiast geograficzny determinizm maskuje inne o wiele ważniejsze dla Rosjan motywy ich ekspansji.

Ta koncepcja, moim zdaniem, podobnie jak plany Rosjan, by utworzyć nowy koncert mocarstw rządzących Europą i dzielący ją na strefy wpływów, to są idee rodem z XIX wieku, adekwatne do ówczesnych warunków. Dziś, biorąc pod uwagę to, jak zmieniły się społeczeństwa państw Zachodu, jak zmieniły się handel, komunikacja, gospodarka, jak duże znaczenie mają technologie, te koncepcje wyglądają już bardzo archaicznie. Siła państwa i jego bezpieczeństwo w o wiele mniejszym stopniu zależą dziś od tego, czy jego granice przebiegają przez równinę, czy przez wysokie góry i wzdłuż szerokich rzek. Nie wspominam, że w takiej koncepcji najlepsze granice to te oparte o ocean. Pojawia się zatem pytanie, jak długo Rosja ma prowadzić ekspansję, żebyśmy uznali, w ramach tej koncepcji geograficznego determinizmu, że to bezpieczne dla niej granice?

Te same idee równocześnie są często wykorzystywane do racjonalizacji rosyjskiego autorytaryzmu i totalitaryzmu jako form organizacji tego państwa, niezbędnych dla jego sprawnego funkcjonowania. Rzecz o ten kraj jest tak wielki i jego różne regiony są tak bardzo oddalone od siebie, są w tak dużym stopniu uzależnione od dostaw z zewnątrz, bez których nie mogłyby przetrwać, że w naturalny sposób wymusza to silną centralizację państwa. To wzmacnia centrum, które zabezpiecza komunikację pomiędzy odległymi częściami kraju oraz redystrybucję zasobów i dóbr na tym ogromnym terytorium. Zapomina się przy tym, że w tym świecie istnieją inne państwa z rozległymi terytoriami i utrudnioną komunikacją pomiędzy oddalonymi od siebie rejonami kraju. Te kraje (takie jak Australia czy Kanada) są demokratyczne, ich gospodarki są w pełni rynkowe. I w jakiś sposób te kraje są w stanie utrzymać infrastrukturę transportową i zabezpieczyć odległe rejony bez niszczenia wolności słowa i odgórnego sterowania gospodarką.

Wartości demokratyczne jako zagrożenie

Często można też usłyszeć, że jednym z głównych celów władz rosyjskich, dążących do zniszczenia Ukrainy, jest niedopuszczenie do tego, aby ten kraj odniósł sukces. Niedopuszczenie do tego, by naród tak bliski i rozumiany przez Rosjan (jak im się wydaje) dołączył do rodziny krajów zachodnich, w pełni przyswoił sobie europejskie wartości demokratyczne, zreformował swój system państwowy i ogólnie osiągnął sukces w zakresie rozwoju. Bo to stanowić może zagrożenie dla samych Rosjan. Może posłużyć jako przykład i zachwiać stabilnością systemu. Jednym słowem, może zainicjować zmiany w samej Rosji. Częściowo jest to prawda. Bo pewne koła w Rosji, widząc na tle wojny na Ukrainie, jak bardzo nieefektywny jest rosyjski aparat państwowy, jak głęboko Rosja jest pogrążona w korupcji, zaczynają sobie zdawać sprawę, że zmiany są niezbędne. Mimo zaprzeczania, by tego rodzaju idee mogły powstać w jakikolwiek sposób pod wpływem ukraińskim, pojawiają się jednak w Rosji hasła, których wcześniej tam nie słyszałem. Jak na przykład postulat przeprowadzenia prawdziwej decentralizacji w kraju, w odróżnieniu od obecnego, feudalnego w zasadzie podziału na regiony, rządzone przez osobiście oddanych prezydentowi gubernatorów. Jednak muszę przyznać, że dla większości Rosjan te skomplikowane materie są nadal zupełnie niezrozumiałe. Większość tych ludzi nie wie, czym są decentralizacja, wolność mediów, społeczeństwo obywatelskie, wolne wybory. Po prostu ani razu nie doświadczyli tego, a nawet jeżeli doświadczyli, to nie zdążyli zrozumieć, jaka jest wartość tych pojęć dla społeczeństwa. Z tego powodu wątpię, by obecni Rosjanie mogliby być „zainfekowani” przez Ukraińców wartościami zachodnimi. Rosjanie dostrzegają różnicę jedynie w bogactwie poszczególnych państw. I jeżeli widzą, że któryś kraj jest bogatszy od Rosji, a obywatele żyją na wyższym poziomie, to przeciętny Rosjanin jest skłonny tłumaczyć to zewnętrznymi czynnikami. Takimi jak dotacje Unii Europejskiej czy pomoc finansowa USA albo posiadanie przez dany kraj zasobów naturalnych. Tak samo jak Rosjanie nie są zdolni odróżnić aktywności

społeczeństwa obywatelskiego od działań obcych służb, tak samo nie są w stanie zrozumieć, że stan społeczeństwa i jego zdolność do samoorganizacji i aktywności politycznej wprost przekładają się na sukces gospodarczy kraju. Nawet ci z Rosjan, którzy prawidłowo oceniają sytuację wewnątrz Federacji Rosyjskiej i krytycznie odnoszą się do patologii, które w ich kraju występują, często mają zupełnie oderwane od rzeczywistości recepty na poprawę sytuacji. Takie jak na przykład popularna w Rosji teza o przeprowadzeniu jeszcze raz, na nowo tego samego, co w roku 1937. Chodzi o mit o czystkach stalinowskich, który polega na przekonaniu, że te czystki były czymś niezbędnym dla ówczesnego ZSRR i że uratowały kraj, bo zniszczyły korupcję, obce wpływy i ogólnie usprawniły państwo radzieckie. To są realne idee, które są głoszone w Rosji publicznie i które są tym bardziej popularne, im bardziej rośnie pozytywna ocena postaci Stalina w tym kraju (a ten wskaźnik rośnie tam stabilnie od dłuższego czasu).

Podsumowanie

Rosyjski sposób postrzegania otaczającego świata rażąco różni się od naszego, zachodniego. Oparty jest na innych wartościach i innej kulturze politycznej. Jest zdeterminowany stanem rosyjskiego państwa i społeczeństwa. Brak otwartej dyskusji o rzeczach najważniejszych, brak pluralizmu politycznego, brak społeczeństwa obywatelskiego, to wszystko powoduje, że mity i stereotypy zakorzenione w tym kraju przez agresywną propagandę mają o wiele większy wpływ na świadomość ludzi niż w przeciętnym kraju europejskim, w którym publiczna polemika i różnice zdań zawsze ograniczają tę odległość dzielącą przekonania ludzi od obiektywnej rzeczywistości. Rosja żyje natomiast w swoim własnym, alternatywnym świecie. Dotyczy to zarówno władzy na Kremlu, jak i całego rosyjskiego społeczeństwa albo przynajmniej dużej jego części. Putin i jego reżim pod tym względem są tylko odzwierciedleniem stanu umysłów Rosjan, a ci z kolei otrzymali przywódcę dokładnie

takiego, jakiego chcieli w roli lidera. Putin mówi Rosjanom to, co chcą słyszeć, i dlatego ma w społeczeństwie poparcie. Jednocześnie zdemoralizowane i zgorzzone agresywną propagandą społeczeństwo w pewnym momencie może uznać, że to, co daje im prezydent, to już jest za mało. Wojna pokazuje, jak nieefektywne jest to państwo w starciu z poważnym przeciwnikiem, i Rosjanie, chcąc zmian, a jednocześnie nie rozumiejąc i nie wierząc w zachodni system, mogą zacząć dążyć do zmian w kierunku jeszcze gorszym niż obecny rosyjski system. Przejścia od autorytaryzmu do prawdziwego totalitaryzmu.

Rosjanie postrzegają wojnę na Ukrainie jako część ich globalnej walki ze światem zachodnim, w której Rosja występuje jako ofiara, a nie jako agresor. Ukraińców, Polaków, Rumunów i inne narody środkowej i wschodniej Europy Rosjanie traktują tylko jako pionki w grze mocarstw. Rosja nie uznaje żadnej samodzielności tych narodów w polityce międzynarodowej, a jednocześnie wykorzystuje przestarzałe koncepcje geopolityczne jako sposób usprawiedliwiania, maskowania i racjonalizacji swojej agresywnej polityki na Zachodzie. Na użytek wewnętrzny, dla zwykłych Rosjan, propaganda rosyjska wykorzystuje ideologiczną koncepcję wielkiej walki z europejskim nazizmem jako odwiecznym, absolutnym złem. Rosjanie w dużej mierze przyjmują te propagandowe koncepcje, żeby usprawiedliwić przed sobą prowadzenie ciężkiej i okrutnej wojny w innym państwie, świadomie dehumanizują naród ukraiński, żeby ułatwić akceptację wojny w rosyjskim społeczeństwie.

Rosjanie nie postrzegają Ukraińców jako pełnowartościowego narodu, godnego własnego państwa. Celem zasadniczym dla Rosjan zawsze będzie likwidacja ukraińskiej tożsamości narodowej i ukraińskiego państwa. Wszystkie inne cele mają charakter tymczasowy i taktyczny na drodze do celu głównego. Rosjanie traktują ten konflikt jako egzystencjalny dla siebie, ponieważ utrata Ukrainy w ich rozumieniu wiąże się z utratą przez Rosję statusu mocarstwa. Niepodległa Ukraina podważa mit historyczny Rosjan o swoim państwie. Uderza w podstawy, na których zawsze budowały się kolejne reinkarnacje rosyjskiego imperium,

i burzy rosyjski monopol na zarządzanie tym całym wielkim obszarem Eurazji, który wcześniej przez kilka stuleci znajdował się pod ich kontrolą. To, z punktu widzenia Rosjan, może spowodować nie tylko kryzys władzy w Rosji, ale też o wiele bardziej niebezpieczny kryzys tożsamości i potrzebę redefinicji ich państwa. W pewnym sensie podobnej do tej, jaką przeżyła republika francuska po porażce w wojnie w Algierii (oczywiście z uwzględnieniem pewnej specyfiki rosyjskiej). Pod tym względem, kiedy Rosjanie mówią, że porażka na Ukrainie będzie końcem Rosji, mają rację. Ale przy tym oni mają na myśli Rosję jako słynną ideę Trzeciego Rzymu, prawdziwego imperium, które jest błogosławione przez siły wyższe i przeznaczone do rządzenia innymi narodami. Natomiast Rosja jako kraj oczywiście nie zniknie i w nowej formie będzie istniała jako zwyczajne, normalne państwo. Pozytywna i bezpieczna Rosja przyszłości (niestety – raczej odległej) to jest wyłącznie Rosja, która odrzuciła na stałe swój mit imperialny.

Chrzanów, lipiec 2023 roku



Paweł Bobołowicz

O polskiej pomocy dla walczącej Ukrainy

Polskie wsparcie dla Ukrainy w jej walce przeciwko putinowskiej Rosji obejmuje cały szereg sfer wzajemnych relacji na poziomie zarówno społecznym, jak i państwowym. I sięga głębiej niż do początku rosyjskiej inwazji 24 lutego 2022 roku. Formy udzielonej pomocy miały charakter i spontaniczny, i zorganizowany. Indywidualny i organizacyjny, obywatelski i oczywiście państwowy. Piszę „miały” w czasie przeszłym, ale tak naprawdę polska pomoc wciąż trwa. Może przybrała inne formy, może nie jest już tak masowa, ale mam wrażenie, że jeśli, nie daj Boże, znów trzeba byłoby otworzyć nasze domy, nasi rodacy ponownie by to zrobili i to pomimo głosów o zmęczeniu, czy też nawet pewnego żalu, że w obszarze wsparcia finansowego niektóre mechanizmy były nieefektywne.

Polskie społeczeństwo i państwo w pełni zdały egzamin w obliczu ludzkiego dramatu naszych sąsiadów. Świadomie też na pierwszym miejscu mówię o roli społeczeństwa, naszych współobywateli, bo przecież nikt z podejmujących działania pomocowe nie oglądał się ani na wsparcie państwa, ani na finansowanie, ani na odpowiednie regulacje prawne. Jestem przekonany, że nasze społeczeństwo swoją postawą wręcz mobilizowało struktury państwowe do wspierania akcji

pomocowych, często wyprzedzając powolne mechanizmy biurokracji. Jednak byłoby nieuczciwością, gdybyśmy nie podkreślili, że nasze państwo wręcz z zadziwiającą sprawnością uczestniczyło i uczestniczy w działaniach pomocowych. Polskie państwo jednoznacznie wsparło Ukrainę także w płaszczyźnie politycznej i militarnej, w wielu obszarach stając się wręcz liderem takich przedsięwzięć. Czasem przy krytycznych głosach płynących i z wewnątrz, i od naszych partnerów zagranicznych.

Rosyjski atak 24 lutego 2022 roku uruchomił masową solidarność polskiego społeczeństwa z Ukraińcami. Skalę działań społecznych, zaangażowanie i ducha można porównać chyba tylko do polskiej Solidarności 1980 roku. Jednak wtedy ta aktywność była nakierowana w stronę własnego społeczeństwa. W 2022 roku adresatem naszej solidarności stał się natomiast naród, z którym na przestrzeni wieków łączy nas wiele, ale też wiele dzieli.

+++++

Początku polskiego wsparcia dla Ukrainy w konfrontacji z Rosją należy upatrywać już w czasie rewolucji godności – Majdanu 2013/2014, który również dla wielu Polaków nie tylko był formą wewnętrznego, politycznego protestu przeciwko dyktaturze, ale też faktycznie stał się powstaniem przeciwko Janukowyczowi jako rosyjskiemu namiestnikowi. Formacje siłowe reżimu były związane z rosyjskimi służbami, wielokrotnie Rosji przypisywano sprawstwo i kierowanie najbrutalniejszymi akcjami. W haśle „Unia Europejska – tak, Euroazjatycka Unia Celna – nie” krył się bunt przeciwko pogłębieniu uzależnienia od Rosji. Na Majdanie w sposób żartobliwy do rozgrzewania się w czasie siarczystych mrozów zachęcano okrzykiem „Kto nie skacze, ten Moskale!”. Zabawny okrzyk, ale pokazujący, że w rzeczywistości konfrontacja przebiegała na linii „my – Ukraińcy, oni – Moskale”. Ten antyrosyjski charakter Majdanu w oczywisty sposób budził sympatię pewnej części polskiego społeczeństwa i był dodatkową motywacją do pomocy dla majdanowców.

Od 2014 roku Polacy uczestniczyli też w pomocy dla walczącej Ukrainy i jej liderami stały się organizacje, które wspierały również Majdan. Wystarczy tutaj wspomnieć Stowarzyszenie „Pokolenie”, które najpierw wspomagało protestujących na Majdanie podstawowymi środkami ochrony, a gdy formowały się ochotnicze oddziały do walk na wschodzie Ukrainy, zaczęło prowadzić akcje przekazywania samochodów terenowych, kamizelek kuloodpornych, hełmów i innego sprzętu niezbędnego dla ukraińskich żołnierzy. Żołnierzy, którzy przecież w olbrzymiej części byli ochotnikami i rekrutowali się spośród majdanowców. Te działania były prowadzone tylko na szczeblu społecznym, bo nie było można liczyć na wsparcie ówczesnej ekipy rządowej. Ten czas to podwaliny pomocy, przede wszystkim w wymiarze społecznym i humanitarnym, która po rosyjskiej inwazji przekształciła się w pomoc masową.

Pierwszym aktem polskiej pomocy po rosyjskiej inwazji 24 lutego 2022 roku było faktyczne otwarcie naszej granicy. Błyskawicznie podjęte decyzje na szczeblu państwowym spowodowały, że ukraińscy uchodźcy mogli przekroczyć granicę właściwie z jakimkolwiek dokumentem potwierdzającym tożsamość. Kilka miesięcy po tych dramatycznych dniach rozmawiałem z jednym z oficerów ukraińskiej straży granicznej. Rozmowa nie miała charakteru oficjalnego i nie mogę przytoczyć jego nazwiska, ale wtedy usłyszałem zdanie, które wydaje się kluczowe dla zrozumienia nie tylko humanitarnego znaczenia decyzji o otwarciu granicy dla ukraińskich uciekinierów: „Rosja była pewna, że wy granice zamkniecie, że będziecie wymagać wszystkich dokumentów, że pod granicą będą stać tysiące ukraińskich kobiet i dzieci, a naprzeciwko karabiny polskiej straży granicznej. Liczyli na wywołanie konfliktu, katastrofy humanitarnej, a wy przyjęliście nasze kobiety i dzieci jak swoich! Wśród nich moją żonę i moje dzieci. Nie ma właściwych słów, by wyrazić wdzięczność”. Wysokiej rangi oficer ukraiński, gdy mi o tym opowiadał, miał łzy w oczach. W niezasłużony sposób, zarówno w tej rozmowie, jak i wielu następnych, stawałem się adresatem podziękowań dla polskiego społeczeństwa.

Rzeczywiście wizja tysięcy uciekinierów koczujących na zamkniętej polskiej granicy, a pewnie z czasem próbujących ją przekroczyć, brzmi niepokojąco. Po polskich doświadczeniach z kryzysem granicznym z Białorusią można faktycznie postawić tezę, że Putin na taką formę konfliktu na polsko-ukraińskiej granicy liczył. Olbrzymia liczba uciekających przed wojną i tak powodowała oczywiste trudności i nie było możliwości uniknięcia wszystkich sytuacji konfliktowych. Na granicy utknęły pociągi, w których godzinami marzli pasażerowie, którymi przecież były głównie kobiety i dzieci. Na taką skalę uciekinierów nie była w żaden sposób przygotowana infrastruktura graniczna ani po jednej, ani po drugiej stronie. Mimo tego mozolnie, ale jednak problemy rozwiązywano. Wiele razy w tamtych dniach zrewidowałem swoje oceny dotyczące służb granicznych. Wieloletnie doświadczenia powodowały, że widziałem w nich chłodnych, a czasem wręcz bezdusznym funkcjonariuszy. A jednak okazało się, że to właśnie ich empatia i swoista kreatywność pozwalały wtedy na pokonywanie trudności, które wydawały się nie do przezwyciężenia. Nie zwracano sobie głowy brakiem aktualnych badań technicznych, upoważnień, przymykano oczy na spaloną żarówkę czy nawet zbyt dużą liczbę pasażerów w pojeździe. W pierwszych dniach nie pytano, co w samochodzie miauczy albo czy trzymany przez dziecko na rękach zółw ma na pewno wszystkie dokumenty.

Niestety nie zabrakło też w Polsce straszących nielegalnymi migrantami, którzy sytuację wojny na Ukrainie mieliby rzekomo wykorzystać do przedostania się do Polski. Ich „ciemna karnacja” miała, według siewców dezinformacji, sugerować, że to napływ islamskich terrorystów. W tym celu pokazywano nawet zdjęcia i filmy przedstawiające uciekających z Ukrainy studentów z Afryki i Azji, których pełnowymiarowa wojna zastała w Kijowie, Charkowie i innych miastach, na uczelniach. Mimo wszystko polskie społeczeństwo nie dało się sprowokować grupom grającym na nacjonalistycznej retoryce.

Gdy drugiego dnia rosyjskiej inwazji wjeżdżałem z terytorium Ukrainy do Polski, początkowo nie mogłem zrozumieć, czemu przed naszą

granicą stoi tak wiele samochodów. Ich ustawienie wskazywało jednak, że nie jest to kolejka czekająca na wjazd na Ukrainę. Te samochody, z polskimi tablicami rejestracyjnymi, podjeżdżały pod przejście i odjeżdżały. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, że są to Polacy, którzy podjeżdżali pod granicę, by zabierać ukraińskie rodziny uciekające przed wojną. Setki, a na wszystkich przejściach pewnie tysiące Polaków z samochodami przyjeżdżało tylko po to, by pomóc tym, którzy granicę przekroczyli pieszo. Osobom, których kompletnie nie znali, a czasem mieli nawet problem, żeby się z nimi porozumieć. Taki system odbiorów z granicy trwał przez długi czas. Ludzie przyjeżdżali nie tylko z miejscowości przygranicznych, ale też z całej Polski. Czasem pasażerów przekazywano sobie w kolejnych punktach, umożliwiając dojazd nawet za zachodnią granicę naszego kraju. System tej spontanicznej, a z czasem także coraz bardziej zorganizowanej, lecz wciąż obywatelskiej pomocy obejmował również kwestie zakwaterowania.

Na granicy stanęły namioty – punkty z odzieżą, jedzeniem, lekami. Część z tych inicjatyw miała całkowicie spontaniczny i niesformalizowany charakter, ale do pomocy ruszyły też organizacje charytatywne, kościelne, a nawet struktury Ochotniczej Straży Pożarnej. Samorządy udostępniały na noclegi hotele, hale sportowe. W Dorohusku najbardziej zaskoczyła mnie pomagająca uciekinierom Rosjanka. Co prawda od lat mieszkała w Polsce, ale jednak nie potrafiła się całkiem wyzbyc pewnych wielkorosyjskich schematów myślowych, w tym opowiadania o zмовie USA i światowej finansjery. Mimo wszystko biegała wśród uchodźców, rozdając jedzenie i odzież. Z drugiej strony przyznaję, że w tamtym momencie nie umiałem się w stosunku do niej wyzbyc podejrzliwości.

Dumą natomiast napawali mnie rodacy, którzy dzień i noc służyli pomocą. Bez względu na swój status społeczny. W czasie jednego z powrotów do Warszawy spotkałem się z prezesem dużej firmy operującej na rynku nieruchomości. Człowiek ten przez kilka lat pracował na Ukrainie i wtedy zresztą się poznailiśmy. Podczas rozmowy okazało się, że po pracy w swoim eleganckim biurze, po ważnych naradach z innymi

biznesmenami i ministrami, po podpisywaniu kontraktów na budowę wieżowców, nakładał żółtą kamizelkę z napisem „Perekładacz” i ruszał na warszawski Dworzec Zachodni pomagać jako tłumacz wolontariusz przybywającym Ukraińcom. Język ukraiński znał z czasów pracy na Ukrainie, a pomagał – bo tak trzeba. W tej pomocy wspierały go nastoletnie córki. Co chwilę zresztą się okazywało, że pomaga też, wynajdując, a czasem po prostu finansując z własnej kieszeni noclegi, posiłki, leczenie... Z czasem zaczął pomagać w organizacji konwojów z pomocą humanitarną i medyczną. Oczywiście wśród wolontariuszy nikt się nie chwalił swoimi funkcjami i stanowiskami. Wszyscy solidarnie koncentrowali się na pomocy.

Również wielu dziennikarzy, oprócz pełnienia swojej roli zawodowej, rzuciło się w wir działania pomocowego. Moja macierzysta redakcja Radia Wnet na wiele tygodni przekształciła się w instytucję logistyczno-charytatywną. Wyciągaliśmy rodziny z zagrożonych inwazją terenów Ukrainy, pomagaliśmy naszym rodakom wydostać się z częściowo oblężonego Kijowa. Specjalnie powołany dział pomocowy pośredniczył pomiędzy słuchaczami chcącymi pomóc i naszymi ukraińskimi gośćmi, którym pomoc była potrzebna. Czasem zadania wydawały się niemożliwe do wykonania: ksiądz pod Czernihowem potrzebował łodzi, by przez rzekę dostarczać pomoc do faktycznie oblężonego miasta. Po naszym apelu okazało się, że taka łódź jest w Polsce i może zostać dostarczona. Na granicy utknął wywożony z okupowanych terenów Ukrainy koń – a jeden z naszych słuchaczy akurat zgłosił, że ma przyczepę do przewożenia koni. Ale przede wszystkim pomagaliśmy ludziom w znalezieniu zakwaterowania, w transporcie, nawet do odległej Kanady. Ktoś prowadził przez chwilę jakieś statystyki, ile osób, kiedy... a potem po prostu pomagaliśmy.

Polskie społeczeństwo nie miało też wątpliwości, że trzeba wspomagać ukraińską armię. Oczywiście najbardziej znany stał się zakup Bayraktara, ale przecież z prywatnych środków sfinansowano zakup niewyobrażalnej liczby samochodów, mundurów, apteczek, staz, hełmów,

plecaków, latarek, termosów i wszelkiego rodzaju wyposażenia. Ponad osiemdziesięcioletnia słuchaczka naszego radia przyniosła nam dużą sumę pieniędzy od swojego jeszcze starszego brata, który mieszka w USA, z prośbą o zakup i dostarczenie ukraińskim żołnierzom odzieży zimowej. Miała tylko jedną prośbę: by po drodze na front pojechać na podcharkowski cmentarz w Piatichatkach, na którym spoczywają polscy żołnierze pomordowani na podstawie rozkazu Stalina. Chciała, żeby sprawdzić, czy w rosyjskim ostrzale nie została uszkodzona tablica z nazwiskiem ich ojca. Mundury zawieźliśmy pod Bachmut, a w drodze powrotnej sprawdziliśmy, czy tabliczka przetrwała. Cmentarz jest położony od północnej strony Charkowa. To stamtąd Rosja wciąż prowadzi ostrzał. Kilka upamiętnień na cmentarzu faktycznie zostało zniszczonych, uszkodzonych przez rosyjskie pociski. Tabliczka poświęcona ojcu naszych słuchaczy przetrwała, o czym z radością ich poinformowaliśmy.

Na Ukrainę od razu po rosyjskiej inwazji ruszyły konwoje pomocy humanitarnej. Przez kolejne miesiące polskie transporty humanitarne spotykałem wszędzie: w drodze do granicy, we Lwowie i w Łucku, w Tarnopolu, Berdyczowie, Kijowie, Charkowie, Mikołajowie, Chersoniu od razu po wyzwoleniu, w Bachmucie do czasu, gdy był pod ukraińską kontrolą, w Iziumie, Buczy, Irpieniu, Hostomelu i w każdym najbardziej odległym i niebezpiecznym miejscu. Gdy Kijów był w częściowym okrążeniu, do miasta wjeżdżaliśmy z pomocą humanitarną jedyną w miarę bezpieczną drogą od południa. Wtedy nie milkły rosyjskie ostrzały ukraińskiej stolicy. Od północnego zachodu na miasto nasuwały się chmury dymu z płonącego Irpienia i Buczy. Bezpośrednie walki można było obserwować z kijowskich bloków. Wyjazd z Polski do Kijowa bez wątplenia był związany z olbrzymim ryzykiem. A jednak w organizowanych przez nas transportach brali udział wolontariusze, często podstawiając też swoje samochody. Wśród nich był i profesor filozofii, i dyplomata zwolniony z pracy zaraz po inwazji, pracownik z branży energetycznej, bezrobotny i prezes znanej fundacji. Byli ludzie, którzy od lat są związani z Ukrainą, i ci, którzy na Ukrainę pojechali pierwszy

raz podczas pełnoskalowej wojny – pojechali, by pomóc. Dowoziliśmy pomoc tak daleko, jak było można, a jeszcze dalej dostarczali ją żołnierze ukraińskich Sił Specjalnych Operacji, którym czasem towarzyszyliśmy. Pomoc trafiała do ludzi, którzy z różnych przyczyn nie mogli opuścić ostrzeliwanych terenów.

W zrujnowanym przez Rosjan podkijowskim miasteczku Buzowa zaraz po wyzwoleniu w kwietniu 2022 roku dostrzegłem samochód oklejony polską i ukraińską symboliką. Nietrudno było go zatrzymać – zniszczone miasteczko, pracujący saperzy, rozwalone drogi powodowały, że pojazd poruszał się powoli. Kierowcą i jedynym pasażerem okazała się Polka, która od pierwszych dni inwazji zajęła się pomocą dla Ukrainy. Praktycznie zrezygnowała ze swojej pracy zawodowej, zarabiania dużych pieniędzy, by całkowicie poświęcić się pomocy. Przez kolejne miesiące znów nasze szlaki się krzyżowały, a kobieta z pomocą docierała coraz dalej, spędzając na Ukrainie coraz więcej czasu. Takich osób instytucji pomocowych jest wiele. Pewnie przyszłe statystyki nigdy nawet nie obejmą ich działalności. Wielu z nich swoimi działaniami się nie chwali, nie obnosi się z nimi. Inni robią to, żeby pozyskać kolejnych sponsorów, ofiarodawców. Każdy z nich stał się jednak polskim społecznym ambasadorem, każdy z nich tworzy pozytywny wizerunek naszego kraju. Człowiekiem instytucją jest od lat pomagająca Ukrainie Olga Solarz, która swoją pracę dokumentuje niezwykłymi opowieściami. Pomagają polscy księża i działacze polskich organizacji na Ukrainie. I polscy przedsiębiorcy, wśród których chcę wymienić Szymona Waszczyzna, Jacka Popińskiego i Ireneusza Derka. Oczywiście ta imienna lista jest bardzo długa i z pewnością nie zmieściłaby się w ramach tego tekstu.

Od początku pełnowymiarowej agresji byłem obserwatorem albo uczestnikiem kilkunastu konwojów i przedsięwzięć realizowanych przez Rządową Agencję Rezerw Strategicznych zorganizowanych z udziałem i z inicjatywy wicemarszałek Sejmu RP Małgorzaty Gosiewskiej. Dostarczanie leków do szpitali pod Bachmutem, generatorów do Mikołajowa i Chersonia, uruchamianie polskich punktów medycznych w Iziumie i na

Chersońszczyźnie, wywóz i organizacja leczenia dla ukraińskich żołnierzy, akcje świąteczne dla dzieci, które w czasie wojny straciły rodziców, wsparcie dla ukraińskich jeńców, którym udało się wrócić na Ukrainę, pomoc dla środowisk polskich w tym kraju i wiele, wiele innych inicjatyw. Robionych przez sztab niezwykłych ludzi, z których większości nigdy nie poznamy z imienia i nazwiska. Lojalnie pracują oni na rzecz rządowych instytucji, struktur i nie widzą potrzeby, by eksponować swoją osobę. Pokonują tysiące kilometrów, czasem po bezdrożach i tam, gdzie spadają rosyjskie pociski i rakiety. Gdy dowożą pomoc na front, śpią tak jak żołnierze, narażając się na takie samo ryzyko. A jednak do tej pracy nikt ich nie zmusza, a w rozmowach, których nie pozwalają nagrywać, mówią, że dla nich to przede wszystkim misja.

W czasie takiej misji w jednej z podbachmuckich miejscowości, podczas rozładowywania tira rozpoczął się ostrzał. Pracy nie można było przerwać. Sprawnie wypakowywano generatory, żywność. Sprawdzano, czy wszystko zgadza się z dokumentacją. Nad placem rozładunku przeraźliwie wyła syrena, a powietrze huczało od eksplozji. Do dramatu mogło dojść w każdej chwili, ale nie doszło.

Nie wszyscy mają tyle szczęścia. Rosyjskie kule i pociski dosięgały na froncie polskich wolontariuszy i medyków. Ci ostatni też bardzo często pracują bez rozgłosu. A pracują na pierwszej linii frontu, wyciągając poranionych żołnierzy, przewożąc do punktów stabilizacyjnych lub szkoląc ukraińskich kolegów. A czasem też ratując zwierzęta. Jeden z polskich wolontariuszy, który na co dzień zajmuje się ewakuacją ludzi ze strefy frontu, opowiadał, jak znajomy medyk pod ostrzałem pozszywał rannego psa. Medycy czasem muszą pomagać też rannym żołnierzom wroga, tak jak to miało miejsce pod Bachmutem, gdzie polski wolontariusz „sklejał” rannego wagnerowca. Ten, gdy zrozumiał, że ma do czynienia z Polakiem, pomimo tego, że bez udzielenia mu pomocy mógł umrzeć, wciąż złorzeczył na „Polaków, którzy sprzedali się Amerykanom”. Polskiego medyka nie było stać na delikatność przy opatrywaniu ran: „zrobiłem, co było trzeba, ale o komfort wagnerowca

dbać nie musiałem, życie mu uratowałem”. Ilu jest polskich medyków? Podobno dużo, ja ich spotykam od początku inwazji w różnych miejscach. Są cenieni i lubiani. A ich bliscy w Polsce często nie mają świadomości, czym i gdzie się zajmują.

Polska na Ukrainie pobudowała miasteczka dla wewnętrznych przesiedleńców. Takie miasteczka stanęły m.in. w Buczy i we Lwowie. Stale pomagamy ukraińskim szpitalom, ukraińskie kobiety, które przeżyły dramat rosyjskiej niewoli, mogą skorzystać ze specjalnego programu stypendialnego im. bł. Klemensa Szeptyckiego, którego operatorem jest Fundacja Solidarności Międzynarodowej – fundacja Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP. W czasie jednego z wyjazdów, gdy jeszcze na Mikołajowszczyźnie znajdowały się rosyjskie wojska, w ramach wspólnego konwoju dostarczaliśmy sprzęt medyczny do podmikołajowskiego szpitala. Podobnie jak w wielu innych wyjazdach, w tym również osobiście brał udział prezes FSM Rafał Dzieciołowski. Przejazd przez południe Ukrainy był wyjątkowo utrudniony przez zakłócenia sygnału GPS. W nocy znaleźliśmy się w strefie przyfrontowej, na jakichś kompletnych bezdrożach. W sumie dobrze, że nie wiedzieliśmy, jak blisko jesteśmy od strefy walk, mniej nerwów nas to kosztowało. Dopiero oficjalne komunikaty z frontu kolejnego dnia i analiza mapy *post factum* trochę nas przestraszyły. Okazało się, że tam, gdzie dostarczaliśmy leki, trwały walki powietrzne (wygrane przez Ukrainę), a niedaleko doszło też do walk pancernych. Być może zresztą wszystko to utwierdziło nas w przekonaniu, że dostarczenie pomocy medycznej właśnie do tego szpitala miało jak największy sens. Widzieliśmy w nim wielu rannych ukraińskich żołnierzy i cywilów. Mieliśmy wrażenie, że nasze pojawienie się tu w nocy wyglądało dość abstrakcyjnie. Przyjmujący nas lekarze i pielęgniarki byli wyraźnie wzruszeni i jak zawsze w takich sytuacjach odbieraliśmy podziękowania dla całej Polski.

Po jakimś czasie kolejny raz trafiliśmy na Mikołajowszczyznę. Tym razem już wyzwoloną. Dotarliśmy do miejscowości Kisielówka, w której mieszkają potomkowie Polaków przybyłych w to miejsce w XIX wieku.

Ich domy zostały zrównane z ziemią, podobnie jak miejscowy kościół rzymskokatolicki z XIX wieku pw. Niepokalanego Poczęcia NMP. Z czasem również w to odległe miejsce dotarła polska pomoc, dostarczona przez RARS.

W pierwszych dniach rosyjskiej inwazji pojawiały się różne pomysły, jak należy organizować pomoc dla Ukrainy. Przez moment był nawet taki plan, że wszystko powinno przechodzić przez centralny system pomocy rządowej, by nie zablokować granicy, nie powodować chaosu. Rzeczywistość jednak była inna. Pomoc z Polski ruszyła wszelkimi możliwymi kanałami i wciąż płynie.

W grudniu 2021 roku miałem lecieć w od dawna planowaną podróż do rodziny w USA. Kupione bilety, zaplanowane spotkania. Zaplanowana wizyta w Forest Lawn Memorial Park w Glendale w Kalifornii, by zobaczyć „Golgotę” Jana Styki. Największy obraz o tematyce religijnej na świecie. Obraz ten ma swój kijowski epizod, a może nawet znaczenie w inspiracjach Bułhakowa. Jednak ostatecznie moje plany legły w gruzach w obliczu nadzwyczajnego spotkania Trójkąta Lubelskiego, zwołanego na poziomie prezydentów 20 grudnia 2021 roku. Był to czas, gdy już się pojawiały hipotetyczne daty rosyjskiej inwazji. Jedna z nich wskazywała właśnie Boże Narodzenie 2021 roku. Kalifornię ostatecznie zamieniłem na ukraińskie Karpaty, gdzie szczyt się odbywał. Zaraz po nim z wizytą na Ukrainie w Iwano-Frankiwsku (Stanisławowie) przebywał minister spraw zagranicznych RP Zbigniew Rau. Można było odnieść wtedy takie wrażenie, że cały polityczny świat Zachodu wie o zbliżającej się inwazji, a jedynym, który jej nie dostrzega, pozostaje Wołodymyr Zełenski. Pomimo niezrozumiałego oporu przed przyznaniem przez Zełenskiego, że Ukraina znajduje się na progu wielkiej wojny, najbliżsi sojusznicy, na czele właśnie z Polską, zapewniali o wsparciu.

Padły nie tylko deklaracje, nie tylko ostrzeżenia pod adresem Rosji. W czasie wizyty 1 lutego 2022 roku, trzy tygodnie przed pełnoskalową wojną premier Morawiecki poinformował w Kijowie, że Polska jest gotowa przekazać kilkadziesiąt tysięcy sztuk pocisków i amunicji

artyleryjskiej, zestawy pocisków przeciwlotniczych Grom, lekkie moździerze, drony rozpoznawcze i innego rodzaju broń o charakterze obronnym. Ta deklaracja była pewnego rodzaju przełamaniem tabu – Ukrainę można wspierać w wojnie obronnej, którą przecież ten kraj toczy od 2014 roku. W przededniu rosyjskiej inwazji, 23 lutego 2022 roku, tym razem w Kijowie odbyło się kolejne posiedzenie Trójkąta Lubelskiego na szczepku prezydentów. Właściwie kilka godzin przed rosyjskim uderzeniem. Prezydent Polski i prezydent Litwy byli ostatnimi przywódcami, którzy odwiedzili Ukrainę przed pełnowymiarową wojną. Tego dnia Wołodymyr Zełenski nie miał już wątpliwości, że do ataku dojdzie. Mógł mieć jednak pewność, na które kraje może liczyć.

Gdy Kijów jeszcze znajdował się w częściowym oblężeniu, 15 marca 2022 roku do ukraińskiej stolicy przybył premier Mateusz Morawiecki i wicepremier Jarosław Kaczyński. W Kijowie pojawili się też premierzy Czech i Słowenii. Nawet w części polskich mediów krytykowano wtedy tę wizytę, zarzucając premierowi brawurę, narażanie życia. W rzeczywistości to był istotny krok politycznego wsparcia. Później do Kijowa już bez wielkich obaw ruszyli liderzy innych państw i Unii Europejskiej. I mogli przekonać się i odczuć, czym jest rosyjska agresja. Trudno po takich przeżyciach było im zachowywać sympatię, uznanie, szacunek dla Putina. Oczywiście dziś już nie chce się pamiętać, kto otworzył tę drogę, ale Ukraina to pamięta. 13 kwietnia 2022 roku jako pierwsza głowa państwa wizytę w Kijowie złożył Andrzej Duda i odwiedził podkijowską Buczę. I znów śladem naszego prezydenta ruszyli inni zachodni politycy. Świat poznał skalę i brutalność rosyjskich zbrodni.

Spotkania polskich i ukraińskich liderów od tego czasu stały się właściwie oczywiste i naturalne. Miałem okazję obserwować bezpośrednio większość z tych wydarzeń i widziałem, jak zmieniają się relacje pomiędzy naszymi liderami, ich współpracownikami, jak napięcia zastępuje naturalność, może nawet sympatia. Jednak to nie to, czy prezydenci się lubią, czy przyjaźnią, jest najważniejsze. Istotny jest fakt, że Polska stała się partnerem, który potrafi inicjować procesy międzynarodowe: pomoc

wojskową, przywództwo w koalicji czołgowej, przekazywanie samolotów i śmigłowców. Nawet laik wypatrzy na froncie polski sprzęt i usłyszy od ukraińskich żołnierzy pochwały naszych granatników czy lekkich moździerzy. A gdy pod Bachmutem zadźwięczy mocny głos artylerii, to można usłyszeć: „O, to wasze kraby skutecznie niszczą ruski sprzęt”.

Polska pozostaje konsekwentna w kwestii konieczności integracji Ukrainy z NATO. Niestety nasz głos, podobnie jak w przededniu rosyjskiej inwazji, często na arenie międzynarodowej przegrywa z niemieckimi i francuskimi interesami. Dziś możemy mieć wątpliwą satysfakcję, że uprzedzaliśmy przed szkodliwością Nord Stream 2. Jednak gdyby wcześniej usłyszano nasz głos, niemieckie pieniądze latami nie nabijałyby Putinowi pistoletu do szantażowania całej Europy – nawiązując do słów premiera Morawieckiego wypowiedzianych 1 lutego 2022 roku w Kijowie.

Niewątpliwie nasze relacje państwowe z Ukrainą od 24 lutego 2022 roku znalazły się na innym, lepszym poziomie. Pozostaje jedynie żal, że nie potrafimy (razem) wykorzystać ich do przebrnięcia przez dramatyczne i bolesne karty historii.

+++++

Zdarza się, że słyszę głos oburzenia: „tyle Ukraińcom pomagamy i to za darmo!”. W takiej postawie umyka to, co jest najważniejsze: Ukraina walczy dziś jako przedmurze Zachodu, walczy za nas. Broni nie dostaje do zabawy, lecz by bronić własnego terytorium i skutecznie ograniczyć możliwości ekspansywne Rosji. Ceną za broń i każdą inną formę pomocy jest ukraińska krew. To nie górnolotne stwierdzenie, to brutalna prawda, poświadczona grobami ukraińskich żołnierzy na całej Ukrainie. Stoją przy nich maszty z ukraińskimi flagami dumnie mówiące: tu spoczywa żołnierz. Ale tej dumie towarzyszą łzy tysięcy matek, ojców, dzieci, bliskich. Nie znamy prawdziwej liczby zabitych ukraińskich żołnierzy, rannych, którzy do końca życia pozostaną kalekami, liczby

jeńców, którzy każdego dnia przechodzą katusze w rosyjskich więzieniach, koloniach karnych, obozach, piwnicach. Za każdym razem, gdy słyszę podziękowania w moją stronę od ukraińskich wojskowych, od cywilów, to mam poczucie, że to przecież my Ukraińcom jesteśmy winni wdzięczność, że dźwigają to brzemie, że my i nasze dzieci nie musimy walczyć. Tak Polska i Polacy pokazali, że nie zapomnieli słowa „solidarność”, że mamy wielkie pokłady empatii, że wartości Rzeczypospolitej Narodów są nam bliskie. Dziś Ukraina walczy „za naszą i waszą wolność”. My możemy wspierać, pomagać i na tej drodze nie możemy się wahać i zatrzymywać.

Kijów – Warszawa, czerwiec – lipiec 2023 roku



Marcin Ogdowski

Kulisy (nie)zwycięzania

WPROWADZENIE

A miało być tak pięknie...

„Mrugniemy powieką i Kijów będzie nasz!” – deklarował w jednym ze swoich programów telewizyjnych Władimir Sołowiow, znany rosyjski dziennikarz i celebryta. Działo się to w lutym 2022 roku, kilkanaście dni później armia rosyjska wkroczyła do Ukrainy. Nie wiem, z jaką prędkością rusza powiekami Sołowiow, u reszty ludzi ta czynność w pojedynczej odświeceniu zajmuje jedną trzecią sekundy. W ciągu minuty mrugamy 15-20 razy, co po uśrednieniu (i odliczeniu czasu na sen) daje nieco ponad sześć milionów powtórzeń rocznie. Kijów zatem winien być rosyjski już dawno, dawno temu, tymczasem wciąż dumnie powiewa nad nim ukraińska flaga.

Oczywiście, Sołowiow nie traktował literalnie wypowiedzianych przez siebie słów. Szło mu o efektowną frazę, jakby określenie „błyskawicznie” brzmiało niedostatecznie dosadnie. Nie zmienia to faktu, że jakby się nie nadał i po jakie słowne gierki nie sięgnął, i tak wyszedłby na

durnia. Podobnie jak jego imiennik, prezydent Rosji, wybornie podsumowany w komentarzu satyrycznym Tygodnika NIE. „No geniuszu, dziś setny dzień twojej trzydniowej operacji wojskowej”, drwił sobie admin facebookowego profilu pisma, ilustrując okolicznościowy post fotografią zafrasowanego Putina.

Zostawmy propagandystę i jego pryncypała – poważni ludzie na Zachodzie również nie dawali Ukraińcom szans. Na początku lutego 2022 roku, podczas niejawnego briefingu dla kongresmenów, najwyższy rangą amerykański dowódca gen. Mark Milley ocenił, że rosyjski pełnoskalowy atak na Ukrainę może doprowadzić do upadku Kijowa w ciągu trzech dni. Zginąć miało przy tym do czterech tysięcy rosyjskich i 15 tys. ukraińskich żołnierzy. Według dziennika „Washington Post” – który ujawnił szczegóły spotkania szefa kolegium połączonych sztabów z parlamentarzystami – Milley oszacował liczbę cywilnych ofiar takiej agresji na 50 tys. (w tym przypadku mógłby mieć powody do gorzkiej satysfakcji...).

By nadmiernie nie rozbudowywać wstępu, oddajmy głos Tarasowi Kuzio, profesorowi nauk politycznych na Uniwersytecie Narodowym Akademii Kijowsko-Mohylańskiej. W artykule opublikowanym w „Geopolitical Monitor” w listopadzie 2022 roku Kuzio przypomniał poglądy zachodnich analityków militarnych. Przed inwazją większość z nich twierdziła, że Rosja – dzięki potędze posiadanej armii – pokona Ukrainę w ciągu dwóch-trzech dni. Ekspertcy uważali więc dozbieranie zagrożonego kraju za bezsensowne, wspierając tym samym polityki własnych rządów sceptycznie nastawionych do idei pomocy wojskowej dla Kijowa.

Trzy dni minęły, a Ukraina nadal się broniła. „Pytanie nie brzmi: czy Kijów padnie, ale kiedy?”, zastanawiano się w CNN. Paski podobnej treści towarzyszyły wówczas programom wielu innych renomowanych stacji. Szacowni goście w studiach – mundurowi, cywilni specjaliści z naukowymi tytułami oraz wszelkiej maści znawcy Rosji i Wschodu – mieli poważne miny i kiwali smutno głowami. W tym czasie ukraińska armia kiwała rosyjską, a Rosjanie przecierali oczy ze zdumienia.

27 lutego przypadało ustanowione kilka lat wcześniej święto Sił Operacji Specjalnych. Tego dnia hołubiono „zielone ludzki”, w 2022 roku obiektami celebracji mieli być wszyscy uczestnicy z-w-y-c-i-ę-s-k-i-e-j „specjalnej operacji wojskowej w Ukrainie”. A tu zonk, jak mawia młodzież – powodów do szczególnej pompy nie zebrało się za wiele. Ani po trzech dniach, ani po roku i trzech dniach w kolejnej odsłonie święta.

Koncepcja „trzech dni”/„mrugnięcia powieką” przeszła długą drogę między 2022 a 2023 rokiem, z obaw lub buńczucznych deklaracji zmieniając się w powód do wstydu. Zachód wstydzi się dziś swojej niewiary, Rosja własnej słabości. Rosyjska propaganda wręcz wyparła się, że kiedykolwiek sugerowała szybkie zwycięstwo.

Jak do tego doszło? Dlaczego Ukraina nadal stawia opór Rosji? Co sprawiło, że staliśmy się świadkami upadku mitu „drugiej armii świata”, który na dekady zamulił postrzeganie Rosji i jej militarnych możliwości? Jak narodziła się nowa opowieść – mimo usilnych rosyjskich prób dotąd niesfalsyfikowana – o niepokonanych Siłach Zbrojnych Ukrainy (ZSU)? Na te pytania postaram się odpowiedzieć w poniższym tekście. Punktem wyjścia będzie ustalenie, jak rozumieć określenia „zwycięstwo” i „klęska”, „sukces” i „porażka”, a także rozmieszczenie tych pojęć na osi czasu. Ich znaczenia mają bowiem charakter dynamiczny – czym innym było „zwycięstwo” zimą 2022 roku, czym innym zaś wiosną 2023, i to dla obu stron konfliktu. Rozważania na ten temat stanowią pierwszą część materiału.

CZĘŚĆ I

Nie znamy dokładnych planów rosyjskiego sztabu generalnego, które pozwoliłyby na precyzyjne określenie pierwotnych zamiarów interwencji. Musimy więc sięgnąć po dostępne dane – propagandowe narracje, w tym wystąpienia przedstawicieli Kremla, oraz przyrzeć się ruchom wojsk. 24 lutego 2022 roku armia rosyjska uderzyła na sześciu zasadniczych kierunkach – na północy napadniętego kraju dwa natarcia

wyprowadzono na Kijów (w tym jedno z Białorusi), kolejne zaś na Charków. Wschód to uderzenie na Donbasie z terytoriów tak zwanych ludowych republik (donieckiej i ługańskiej). Z kolei na południu siły inwazyjne ruszyły z zajętego w 2014 roku Krymu na wschód – ku Mariupolowi – oraz na zachód, z zamiarem zdobycia Odessy i odcięcia Ukrainy od morza. Ten ostatni kierunek operacyjny na dalszym etapie działań miał zostać wsparty desantem morskim, do którego ostatecznie nie doszło. Przeprowadzono za to desant śmigłowcowy, wysadzając spadochroniarzy na podkijowskim lotnisku w Hostomelu. Elitarne oddziały miały przejąć port lotniczy, by umożliwić lądowanie samolotów transportowych z ciężkim sprzętem i posiłkami. Tak wzmocniona grupa pomaszerowałaby na Kijów z zadaniem zajęcia kluczowych obiektów w mieście. Wsparciem dla niej byłyby jednostki zmechanizowane, pchnięte ku ukraińskiej stolicy lądem.

Utrata Kijowa miała być niczym dekapitacja – miała złamać wolę walki tych Ukraińców, którzy zamierzali stawiać opór. Generalnie jednak Kreml nie zakładał poważniejszej akcji obronnej, zwłaszcza na zamieszkałym przez rosyjskojęzyczną mniejszość wschodzie. Nie ma jasności, czy Moskwa planowała wkraczać do zachodniej Ukrainy, stanowiącej kolebkę ukraińskiej myśli narodowo- i państwowotwórczej. Na początku inwazji wielu analityków militarnych sądziło, że powodzenie rosyjskich ataków skusi białoruskiego dyktatora Alaksandra Łukaszenkę do włączenia się do wojny z zamiarem opanowania wspomnianego regionu – rzecz jasna przy pomocy Federacji. Osobiście skłaniam się ku opinii, że Rosjanie zamierzali dokonać aneksji Zadnieprza i południa Ukrainy. W centralnej części kraju chcieli zaś ustanowić marionetkowe rządy, a decydującą rolę odegrałaby tu wola podporządkowania się lokalnych administracji nowym władzom w Kijowie, a nie fizyczna obecność rosyjskich oddziałów. W wersji zakładającej pełen sukces, prorosyjski rząd objąłby wpływami również Zakarpacie i dawną Galicję Wschodnią. W opcji mniej korzystnej, ograniczony obszar jego jurysdykcji stanowiłby dla Rosji bufor od „banderowskiej macierzy”. Cechą

planów wojskowych jest wariantowość i otwartość na „wykorzystanie powodzenia”. Fakt, iż Rosjanie nie użyli Białorusi do uderzenia wzdłuż granicy Ukrainy z Rzeczpospolitą, pozwala przyjąć, że temat „zapadu” zostawili sobie na później.

„Duży” Zachód, rozumiany przede wszystkim jako NATO, także był celem „specjalnej operacji wojskowej” – oczywiście pośrednim. W wymiarze geopolitycznym zajęcie i zwasalizowanie Ukrainy nie tylko fizycznie poszerzyłoby strefę wpływów Rosji, ale stanowiłoby również ostrzeżenie. Pokazało krajom wschodniej Europy (i Azji Centralnej), czym kończy się próba „zerwania” z Moskwą. Również „stary” Zachód mógłby się przeląć. Jedną z reakcji obronnych na ekspozycję brutalnej siły jest wycofanie – w tym przypadku byłoby to zaprzestanie rozbudowy możliwości obronnych Sojuszu na wschodnich rubieżach. Bo czy dla Polski lub Litwy warto narażać się na wojnę z „nieprzewidywalną” Rosją? Taka demobilizacja z czasem przyniosłaby demoralizację – świadomość występowania różnych kategorii członkostwa i nieoczywistego charakteru gwarancji bezpieczeństwa podważyłaby sens istnienia NATO. Mnóstwo wschodnich Europejczyków zaczęłoby się zastanawiać, po co być częścią „papierowego sojuszu”, gdy już sama do niego przynależność naraża ich na gniewne reakcje potężnego sąsiada. Erozja dotknęłaby też zachodnioeuropejskiego „korzenia” NATO. Skoro jesteśmy tacy słabi, tamci zaś tak bardzo lubią ryzyko, może lepiej się z tym pogodzić? – kalkulowano by, mając Rosjan za krnąbrnych uczestników biesiady, z którymi jednak nadal można robić niezłe interesy. Narrację w tym akapicie poprowadziłem w trybie przypuszczającym, ale mamy dość dowodów, by uznać, że tego właśnie pragnął Władimir Putin, że ramy jego „wielkiego zwycięstwa” wykraczały daleko poza granice Ukrainy.

A co planował wobec samych Ukraińców? Gdy jesienią 2021 roku amerykańskie media donosiły o istnieniu list proskrypcyjnych zawierających nazwiska osób przeznaczonych do likwidacji po zajęciu przez Rosjan Ukrainy, niewielu w to wierzyło. Powszechne było naiwne założenie samoograniczającego się charakteru ewentualnej rosyjskiej agresji. Już

po rozpoczęciu inwazji usłyszeliśmy Putina podważającego ideę ukraińskiego narodu oraz prawo Ukraińców do samostanowienia. 24 lutego 2022 roku można było o tym myśleć w kategoriach wojennej retoryki, która nie przełoży się na realne działania. Ale potem przyszła Bucza, zaś 3 kwietnia 2022 roku RIA Novosti – państwowa rosyjska agencja prasowa – opublikowała obszerny artykuł pt. „Co Rosja powinna zrobić z Ukrainą”. Miejsce publikacji ma kluczowe znaczenie dla stwierdzenia, że nie chodzi o publicystyczne enuncjacje, ale o rządową agendę. Plan. Przyjrzyjmy się jego szczegółom. Otóż Ukrainę trzeba „denazyfikować”, w całości, gdyż „operacja specjalna” ujawniła, że nie tylko przywództwo polityczne, ale i większość ludności jest „nazistowska”. Wszyscy Ukraińcy, którzy chwycili za broń, muszą zostać wyeliminowani – co ma być karą za „ludobójstwo narodu rosyjskiego” (dokonane rzekomo na Donbasie). Niepodległość i proeuropejskość to dla Ukraińców „zasłony dymne skrywające nazizm”, zaś Ukraińcy to „sztuczny konstrukt antyrosyjski”, który nie powinien mieć tożsamości narodowej. Zatem „denazyfikacja” oznacza „deukrainizację” i nieuniknioną „deuropeizację”. Eliminacja elity politycznej jest konieczna, nie można jej bowiem reedukować. Reedukacja zwykłych Ukraińców ma się z kolei sprowadzić do doświadczenia okropności wojny – co będzie lekcją historii i nauką na przyszłość. Po „wyzwoleniu”, przez kolejne ćwierć wieku, Rosja nie może ustawać w wysiłkach „denazyfikacyjnych”. Innymi słowy, rosyjskie zwycięstwo to również wynarodowienie i częściowa biologiczna zagłada ukraińskiej wspólnoty.

Czas utemperował ambicje Rosjan. Po pięciu tygodniach ciężkich walk okazało się, że muszą uciekać spod Kijowa, że Charków jest nie do wzięcia, Odessa poza zasięgiem. Rozpoczęta w drugiej połowie kwietnia 2022 roku bitwa o Donbas nie skończyła się spektakularnymi zdobyczami i rozbiciem armii ukraińskiej. Po trzech miesiącach mozolnego marszu na zachód Putin zażądał od wojskowych, by do końca sierpnia „wyzwolili” obwody ługański i doniecki. Zadanie zrealizowano częściowo, zajmując niemal całą Ługańszczyznę i połowę Doniecczyzny. Gwoli

rzetelności dodać trzeba, że w rękach Rosjan znajdowały się wtedy także obszerne połacie obwodu charkowskiego, zaporoskiego, chersońskiego i mikołajowskiego. Ale potem nastąpiła ukraińska kontrofensywa, która wyparła okupantów z Charkowszczyzny, a jesienią przepędziła ich również z Chersonia, jedyne go zajętego miasta obwodowego. W tamtym czasie przedstawiciele Kremla przekonywali, że „cele Rosji w Ukrainie się nie zmieniły”, ale był to zaledwie rytualny bełkot, bo na poziomie codziennego przekazu mieliśmy do czynienia z konsekwentnym budowaniem u Rosjan (i nierosyjskich stronników Federacji) coraz niższych oczekiwań wobec armii i tego, co robi w Ukrainie. Sukcesem było wówczas wycofanie się za Dniepr na lepsze pozycje obronne.

Zimowe ofensywy – powietrzna i lądowa – ani nie przeniosły Ukrainy w średniowiecze, co miało być skutkiem zniszczenia jej systemu energetycznego, ani też nie doprowadziły do kaskadowego załamania się linii frontu. Lotnictwo Rosji okazało się niedostatecznie mocne w konfrontacji z ukraińską obroną powietrzną, a wojska lądowe zbyt wyczerpane, żeby pozwolić sobie na coś więcej niż kilka punktowych uderzeń. W takich okolicznościach zaczęło się fetyszyzowanie Bachmutu, czemu sprzyjała reaktywna postawa ukraińskiej propagandy, która także nadała miastu duże symboliczne znaczenie. Jego upadek w połowie maja 2023 roku był ostatnim akordem rosyjskiej zimowej ofensywy na lądzie. W jej trakcie zdobyto 80 km kwadratowych terenu, za cenę 100 tys. zabitych i rannych żołnierzy i najemników. Ta dramatyczna nieefektywność jedynie uwypukliła potrzebę propagandowego rozdęcia bachmuckiego „sukcesu”.

Piszę te słowa na przełomie maja i czerwca 2023 roku, kiedy Rosjanie wciąż usiłują przedstawiać „Bachmut” jako wielkie zwycięstwo. Zerknijmy na wspomnianą oś czasu – w lutym 2022 roku mamy zapowiedzi typu „trzy dni i Kijów nasz” (trzymilionowa metropolia...), w maju 2023 roku wielką radość z powodu zdobycia 70-tysięcznego przed wojną miasteczka. Tak właśnie dewaluowało się rosyjskie postrzeganie „zwycięstwa”. I owszem, Putin oraz jego współpracownicy konsekwentnie

powtarzają, że Rosja będzie dążyć do pokonania „kijowskiego reżimu”. Nie sądzę jednak, by generałowie Federacji – znający realne możliwości sił zbrojnych, które nie pozwalają na pokonanie Ukrainy w konwencjonalnym konflikcie – mierzyli dalej niż „dowiezienie” przynajmniej części zdobyczy terytorialnych do momentu, kiedy staną się one przedmiotem rozmów pokojowych.

+++++

A co z percepcją ukraińską? Tu również nastąpiły poważne zmiany, przebiegające w myśl popularnego powiedzenia, że „apetyt rośnie w miarę jedzenia”.

I w tym przypadku nie znamy dokładnych wyjściowych planów dowództwa ZSU. Nie wiemy, czy zamierzało ono bronić całości Ukrainy w jej granicach z 23 lutego 2022 roku, czy dopuszczało utratę części terytoriów jako koszt ochrony terenów uznanych za priorytetowe (na przykład stolicy). „Miękkie wejście” rosyjskich oddziałów w południowo-wschodnie rubieże (łatwość, z jaką zyskano lądowe połączenie z Krymem) może sugerować, że tamta część kraju została poświęcona. Lecz istnieją na ten temat konkurencyjne wyjaśnienia, gdzie wspomina się o zdradzie wyższych rangą wojskowych, przedstawiciele specsłużb i cywilnej administracji, którzy „wpuścili” Rosjan bez walki. Podkreśla się również charakter sił inwazyjnych operujących na południowym teatrze działań. Armia Federacji przygotowywała się do zbudowania „korytarza” od kilku lat, delegując do tego zadania elitarne jednostki, którym wojska ukraińskie w pierwszych dniach inwazji zwyczajnie nie sprostały.

Zostawmy jednak spekulacje i skupmy się na ewidentnych zamiarach. Z chwilą, gdy Moskwa zdecydowała się na pełnoskalową wojnę, bez wątplenia należały do nich ocalenie podmiotowości i niepodległości Ukrainy, ochrona jak największych grup ludności przed rosyjskimi prześladowaniami oraz utrzymanie strategicznych obszarów kraju. Poza wymienioną w tym kontekście stolicą, właściwie wszystkich dużych

miast będących zarazem ośrodkami przemysłowymi, Odessy jako „okna na świat”, kontrolowanej po 2014 roku części Donbasu oraz rozległych areałów „spichlerza Europy” w środkowej i wschodniej części Ukrainy.

To skrótowe z konieczności zestawienie należałoby rozszerzyć o ukraińskie roszczenia wobec zrabowanych wcześniej przez Rosjan ziem – Krymu, Ługańska i Doniecka. Odzyskanie tych terenów pozostawało w latach 2014-2022 aktualnym postulatem politycznym obu prezydenckich administracji (Petra Poroszenki i Wołodymyra Zełenskiego). Jednocześnie, wobec braku wojskowych możliwości oraz niemożności osiągnięcia celu na drodze negocjacji z Moskwą, odkładano jego realizację na niezdefiniowane „później”. W 2022 roku udana operacja obronna, kontrofensywa i przejście inicjatywy operacyjnej na froncie rozbudziły nadzieje Ukraińców. Wydarzenia z pierwszych miesięcy 2023 roku – w trakcie których to Rosjanie na powrót stali się bardziej aktywną stroną konfliktu – wobec mizerii rosyjskich sukcesów tylko ugruntowały przekonanie o możliwym zwycięstwie Ukrainy. Mglista wcześniej perspektywa powrotu do granic sprzed 2014 roku stała się dla Kijowa jasno zdefiniowanym warunkiem zakończenia działań zbrojnych. Oto maksimum ukraińskiego sukcesu, choć należy zauważyć, że w obliczu różnicy potencjałów między Rosją a Ukrainą już sam fakt, że ta druga przetrwała jako państwo i obecnie walczy „tylko” o granice, zasługuje na miano wielkiego zwycięstwa.

+++++

Trudno i łatwo zarazem uznać Zachód za uczestnika konfliktu. Natowscy żołnierze nie walczą w Ukrainie, ale z drugiej strony, kraje Sojuszu ślą na wschód mnóstwo pomocy wojskowej, wspierają Kijów wywiadowczo i szkoleniowo, wywierają też potężną presję ekonomiczną i polityczną na Moskwę, znacząco podnosząc jej koszty udziału w wojnie. Trzeba docenić ukraińską determinację i bohaterstwo, ale po kilkunastu miesiącach zmaganiań oczywiste jest, że bez „zachodniej kroplówki” Ukraina byłaby

stracona. Otwarte pozostaje pytanie, w jakim zakresie, lecz odpowiedź wykracza poza ramy tego eseju. Istotne jest, byśmy dostrzegli, że Zachód również ma swoje oczekiwania, które da się umiejscowić na wykresie „porażka-sukces”, i że są one kluczowe dla trwania ukraińskiego oporu.

O czym konkretnie mowa? Zachód, choć reprezentowany przede wszystkim przez NATO, nie jest bytem jednorodnym – to konglomerat kilkudziesięciu podmiotów, z których każdy ma nieco inny stosunek do Rosji i Ukrainy. Jest on sumą wielu zmiennych, głównie potencjału militarnego i ekonomicznego (a więc skali partycypacji w geopolitycznych rozgrywkach) oraz położenia geograficznego względem Federacji. Im dalej od rosyjskich granic, tym mniejszy niepokój wywoływany poczynaniami Moskwy, im więcej „twardej” siły, tym większe możliwości, a często i wola powściągnięcia Rosji – tak to wygląda w sporym rzecz jasna uproszczeniu. Inaczej na sprawy patrzy maleńka Estonia, dla której Federacja stanowi egzystencjalne zagrożenie, inaczej mocarstwowa Francja, funkcjonująca bez obaw przed napaścią, za to z doświadczeniem intratnych interesów z Rosją.

Mimo takich różnic wypracowano konsensus, lecz i on zmieniał się w czasie. Nim wojska Putina wkroczyły do Ukrainy, plan sojuszników zakładał ekonomiczną ripostę w postaci sankcji i szerokie wsparcie dla partyzantki, która – jak zakładano – pojawi się na okupowanych terenach. Sukcesem byłyby wówczas słabsze wskaźniki rosyjskiej gospodarki oraz „podpalona” Ukraina. Twardy opór ZSU (ale i na przykład rosyjskie bestialstwo) zmienił znaczenie „wygranej” w rozumieniu NATO. Stało się nią – cytując Jensa Stoltenberga, sekretarza generalnego Sojuszu – „pełne zwycięstwo”, czyli powrót do granic Ukrainy sprzed 2014 roku, czemu m-u-s-i towarzyszyć jak najtrwalsze osłabienie możliwości militarnych Rosji.

Czy to możliwe? Tak, jeśli donatorom Ukrainy nie zabraknie determinacji w udzielaniu wsparcia. Sądząc po dotychczasowej dynamice pomocy – w ramach której Ukraińcy otrzymują coraz więcej, coraz cięższej i bardziej efektywnej broni – pozwoli ona na dalsze wzmacnianie

potencjału armii ukraińskiej, niezależnie od ponoszonych strat osobowych i sprzętowych. ZSU w maju 2023 roku były znacznie silniejsze niż w lutym 2022 roku. Armia rosyjska z kolei po 16 miesiącach wojny wykazywała cechy solidnego poturbowania, a na odbudowę zdolności sprzed 24 lutego 2022 roku potrzebowała dekady. Tymczasem nieposiadanie tych zdolności to brak realnych szans na poważny sukces. Oczywiście, Rosjanie od początku inwazji trzymają w rękawie potencjalnego asa – jest nim taktyczna broń jądrowa. Użyta w Ukrainie, mogłaby z dnia na dzień w istotnym zakresie zmienić sytuację na polu bitwy. Z uwagi na ultimatum Stanów Zjednoczonych, które zagroziły Moskwie „adekwatnym” odwetem w razie sięgnięcia po „atom”, ten scenariusz wydaje się mało prawdopodobny, więc nie warto mu poświęcać dalszej uwagi.

CZĘŚĆ II

No więc co się stało, że armia rosyjska zawiodła oczekiwania, ukraińska zaś „urośła”? Jak w przypadku każdego poważnego zjawiska, mamy tu do czynienia z masą zmiennych. Wskazując najistotniejsze, przypiszę je do dwóch zasadniczych zbiorów. W pierwszym znajdują się czynniki techniczne/technologiczne, w drugim kulturowe. To oczywiście uproszczenie – dość wspomnieć, że oba zbiory się przenikają, wiele zmiennych nosi cechy i techniczne, i kulturowe, jedno wynika z drugich. Postaram się te ciągłości na bieżąco wskazywać.

Weźmy przykład korupcji i złodziejstwa trawiących Rosję, w szczególności zaś instytucje związane z obronnością. Na przestrzeni dekady – jaka minęła od objęcia przez Siergieja Szojgu funkcji ministra obrony do pełnoskalowej inwazji na Ukrainę – Kreml wydał na cele wojskowe ponad 500 mld dol. Część tych środków została przeznaczona na pensje, emerytury i inne koszty stałe. Zakładając, że pochłonęły one maksymalnie 50 proc. corocznych budżetów (co odpowiadałoby strukturze wydatków wojskowych typowej dla mniej zamożnych krajów), nadal mamy gigantyczną kwotę na mnożenie potencjału i jego modernizację.

Tymczasem już w pierwszych dniach wojny wyszło na jaw, że gros zdobytych lub zniszczonych rosyjskich czołgów – „na papierze” poddanych wcześniej kolejnym udoskonaleniom – prezentowała poziom sprzed 30-40 lat i stosowne do wieku zużycie. Czym zatem były rzekome remonty, no i gdzie podziały się zamontowane jakoby nowe podzespoły (jak choćby znacząco podbijająca wartość bojową wozów optoelektronika)? Ilja Szumanow, dyrektor generalny spenalizowanej przez Putina Transparency International Russia, szacuje, że „premie korupcyjne” w sektorze wojskowym sięgały nawet 80 proc. wartości kontraktów. Kradli generałowie, kradli właściciele i dyrektorzy fabryk, w mniejszym zakresie, ale za to liczniej, okradali armię niżsi rangą wojskowi oraz pracownicy przemysłu. Gdy w marcu 2022 roku zdemolowana pod Charkowem 1. Armia Pancerna sięgnęła do rezerw, tylko jeden na dziesięć zmagazynowanych T-80 nadawał się do służby. W pozostałych czołgach brakowało m.in. bloków elektroniki, wytrzebionych przez złodziei metali (pół)szlachetnych. Nie czas i miejsce na rozważania o tym, skąd bierze się status Rosji jako jednego z najbardziej skorumpowanych krajów świata. Na potrzeby tego artykułu wystarczy stwierdzenie, że zjawisko to wprost przekłada się na obniżoną wartość bojową armii.

Ukraińcy – podobnie jak inne wspólnoty z posowieckiego uniwersum – również borykali się z ogromną korupcją, która wojsko naznaczyła w sposób szczególny. Ikonograficzne obrazki żołnierzy wysyłanych wiosną 2014 roku na Donbas w cywilnym obuwiu sportowym nie były rosyjskimi fałszywkami. Tak jak informacje o ograbionych składach paliw i smarów, zdekompletowanych ciężarówkach czy czołgach widniejących w ewidencji jednostek, a faktycznie wojujących bądź zmienionych już we wraki w którejsz z afrykańskich wojen. W wolnej Ukrainie zasoby armii przez lata podlegały procesom nielegalnej prywatyzacji. Zapasami wojska – od samolotów i czołgów po pistolety – na masową skalę handlowali oligarchowie do spółki z generalicją, na mniejszą – szefowie pododdziałów. „Tuczyły” się na tym rozmaite państwa i państwka, doposażały międzynarodowe i lokalne grupy przestępcze.

Rozważając fenomen ochotniczych batalionów powstających w Ukrainie po 2014 roku, nie sposób pominąć kondycji regularnej armii – jej technicznej degrengolady. Ktoś musiał wojsko wyręczyć, i wyręczył, tyle że na dłuższą metę obywatelski entuzjazm to za mało, by ocalić państwo. To właśnie ta refleksja leżała u podstaw całej serii działań podjętych przez ukraińskie władze po 2014 roku, mających na celu uzdrowienie sił zbrojnych i przemysłu obronnego. I choć w 2022 i 2023 roku nadal ujawniano skandale korupcyjne – na przykład związane z dostarczaniem przepłaconej żywności dla ZSU – skala kryminalnych nadużyć dramatycznie spadła, podobnie jak tolerancja dla nich. Sądząc po wysokiej efektywności sił zbrojnych, rak korupcji i złodziejstwa przestał być dla armii śmiercionośną chorobą (co nie znaczy, że przestał być problemem).

+++++

W 2010 roku armia rosyjska ogłosiła światu, że rezygnuje z onuc. Poza praktycznym sprawa miała również charakter prestiżowy, ocieplacze do stóp bowiem na tyle zrosły się z wizerunkiem rosyjskiego żołnierza, że uchodziły wręcz za jego symbol. Stąd „onuce”, jako zamienne określenie dla żołdatów Federacji, zaadaptowane zostało przez internautów także do opisu Rosjan jako takich. Określenie pogardliwe z uwagi na anachroniczność okrycia i towarzyszący mu często nieprzyjemny zapach. „Żołnierze dostaną nowe wyposażenie osobiste!”, chwaliły ministerstwo obrony rosyjskie media. Szybko okazało się, że w garnizonach narażonych na najniższe temperatury wojskowi masowo rezygnowali z przydziałowych skarpet i kalesonów. Marzli, odmrażali kończyny, więc onuce po cichu wróciły do łask. I musiało minąć kolejnych kilka lat, żeby zastąpiła je nowoczesna bielizna termoaktywna. Ale materiały, z których ją wykonano, nie pochodziły z Rosji; miejscowy przemysł nie potrafił opanować technologii wykorzystujących zjawisko hydrofobowości. Wyprodukować ciuchów, które utrzymałyby ciepłotę, jednocześnie

odprowadzając wraz z wilgocią jej nadmiar, dając tym samym stałe uczucie suchości i komfortu termicznego. Patenty były zachodnie, no i chińskie (będące podróbkami tych pierwszych), nigdy zaś rodzime.

Zostawmy na chwilę „sprawy przycielesne”. Na początku marca ub.r. na podkijowskim odcinku frontu doszło do pancерnej potyczki. Natarły na siebie dwa pododdziały, nim padł ostatni strzał, kilka czołgów i wozów bojowych zostało zniszczonych. „Oszczędziliście nam javelinów” – drwili Ukraińcy, mając na myśli amerykańskie wyrzutnie przeciwpancerne. W istocie bowiem był to przykład *friendly fire*, jak w natowskiej nomenklaturze określa się pokrycie ogniem własnych wojsk. Rosjanie, nim zorientowali się, że weszli w bratobójczy kontakt, spopieliili w trafionych pojazdach wielu towarzyszy (ukraińska propaganda podawała, że zniszczono 13 wozów, ale faktycznie było ich nie więcej niż sześć). Na wojnie – zwłaszcza nocą bądź przy ograniczonej przez pogodę widoczności – takie sytuacje się zdarzają. Dlatego armie starają się wyposażać żołnierzy w sprzęt poszerzający ich świadomość sytuacyjną. W tej konkretnej sytuacji Rosjan mógłby uratować odpowiednik amerykańskiego systemu BFT (ang. *Blue Force Tracker*). Pozycjoner własnych (niebieskich) wojsk, coś na wzór cywilnego GPS-u, uwzględniający położenie innych oddziałów do poziomu pojedynczych wozów oraz zawierający dodatkowe informacje o sytuacji w określonym rejonie. Ów terminal służy również do komunikacji – głosowej i pisemnej – tak, by każdy podpięty operator mógł na bieżąco aktualizować dane. Rosjanie – uważano przed inwazją – mieli i takie rozwiązania, tymczasem szybko wyszło na jaw, że borykają się z technologicznym zapóźnieniem. Świadomość sytuacyjną budując na tradycyjnej łączności radiowej, a gdy ta zawodziła, zbierając informacje jak przed kilkudziesięciu laty, za pomocą prostych technik wizualnych.

Wbrew propagandowym zapewnieniom, rosyjski przemysł nie jest w stanie dostarczyć wojsku wielu zarówno skomplikowanych systemów, jak i prostych elementów wyposażenia. Według źródeł ukraińskich, jedna trzecia Rosjan ewakuowanych medycznie podczas ofensywy zimowej

to ofiary odmrożeń i hipotermii. Dziwne? Mniej, jeśli uświadomimy sobie, że sankcje objęły także przemysł odzieżowy, a chińskie zamienniki często nie trzymają jakości. Dodajmy do tego ustalenia generała Andrieja Guruliowa, członka Dumy Państwowej, który w październiku 2022 roku donosił o „zaginięciu” 1,5 mln sortów mundurowych. Uniformów prawdopodobnie nigdy nie wyprodukowano, ale wydatki związane z ich pozyskaniem zostały przez MON poniesione. Znow więc mamy zmorę korupcji – czynnik kulturowy – która w połączeniu z technologiczną niemocą daje dramatyczne dla Rosjan wyniki. Owa niemoc ma też kulturowe korzenie – nie tylko poprzez związek z korupcją (nielegalne transfery części środków przeznaczonych na innowacyjne rozwiązania). Coś musi być z rosyjską organizacją pracy i motywacją mocno nie tak, skoro mimo ogromnych pieniędzy przeznaczonych na obronność, ośrodki badawcze i przemysł nie dają armii niezbędnych narzędzi. Bądź dają ich za mało.

I Ukraińcy długo pozostawali „ślepi i głusi”. Lecz gdy zaczęła się inwazja, zaczęło się też skokowe budowanie zdolności w obszarze świadomości sytuacyjnej. NATO rzuciło do pomocy Ukrainie zwiad satelitarny i lotniczy, szybko doprowadzając do stanu, kiedy dane przekazywano w czasie rzeczywistym. „Jakość BFT” na poziomie najmniejszych oddziałów ZSU osiągnięto dzięki wykorzystaniu cywilnych technologii – Internetu satelitarnego (starlinków) oraz komputerów i telefonów z odpowiednim (stworzonym już na potrzeby armii) oprogramowaniem. Ta „proteza” dała Ukraińcom przewagę, szczególnie w pierwszych miesiącach wojny. Co zaś się tyczy „spraw przycielesnych” – zimę z przełomu 2022/2023 roku ukraińscy żołnierze przetrwali w dużo lepszej kondycji niż rosyjscy dzięki doskonałym natowskim sortom mundurowym.

+++++

Wróćmy do kwestii technologicznego zapóźnienia. W przededniu inwazji spekulowano, że Rosjanie przeprowadzą atak wedle zachodnich

wzorców nowoczesnej wojny. Że „od ręki”, korzystając z dalekonośnej precyzyjnej amunicji, dokonają potężnego uderzenia w kluczowe elementy ukraińskiego systemu obronnego. Pierwsze filmy z zaatakowanego kraju zdawały się potwierdzać ów scenariusz – kamery monitoringu kilku ukraińskich lotnisk zarejestrowały ostatnie fazy lotów i upadki pocisków manewrujących. „Wybombardują ich”, myślałem wówczas. Analogie z działaniami Amerykanów w Iraku nasuwały się same. Tymczasem minęła pierwsza doba, a Rosjanie użyli niewiele ponad stu rakiet. W kolejnych dniach jeszcze mniej, w sumie zaledwie tysiąc po trzech miesiącach działań. Intensywność precyzyjnego ognia dramatycznie niska jak na „drugą armię świata”. Ba, nawet podczas jesienno-zimowej kampanii raketowej, w ramach której zamierzano zniszczyć ukraińską energetykę, Rosjanie używali 50-60 skrzydlatych pocisków w pojedynczym uderzeniu. W największym ataku – z 15 listopada 2022 roku – wykorzystali 96 rakiet Ch-101 i Ch-555. W całym pierwszym roku inwazji wystrzelili nie więcej niż trzy tysiące tego rodzaju środków bojowych. By rzucić na kolana kraj wielkości Ukrainy, musieliby strzelać cztery-pięć razy więcej. Musieć a móc robi różnicę...

Armia rosyjska weszła do wojny z Ukrainą bez należytego zapasu precyzyjnej amunicji. W tym wątku skupiamy się na lotniczych pociskach manewrujących, ale dotyczy to całego spektrum „inteligentnych” środków rażenia – z braku miejsca jedynie sygnalizuję złożoność problemu. Przekształcenie gospodarki na tory wojenne niewiele w tej materii zmieniło. Wedle szacunków ukraińskiego wywiadu, przemysł Rosji wiosną 2023 roku mógł wytwarzać około 70 skrzydlatych pocisków – i był to znaczący wzrost w porównaniu z poprzednimi miesiącami. Takie wyniki nie pozwalały ani na odtwarzanie zapasów, ani na skuteczną kampanię raketową, zwłaszcza w obliczu rosnącej wydajności ukraińskiej obrony powietrznej, od jesieni 2022 roku zasilanej zachodnimi systemami. Dość wspomnieć, że z tych 70 rakiet zaledwie kilkanaście miało szansę dolecieć do celu.

Zwiększenie produkcji raczej nie wchodzi w grę. Rosjanie mogą bez istotnych problemów wytwarzać kolejne korpusy, silniki oraz głowice bojowe, jednak „sercem” nowoczesnej amunicji są systemy nawigacyjne i celownicze. Stare, analogowe rozwiązania nie gwarantują właściwej precyzji i niezawodności, dlatego tak dużo rosyjskich rakiet używanych w wojnie z Ukrainą – pamiętających jeszcze czasy ZSRR – „gubi się” lub spada przed dotarciem do celu, a jeśli doleci, razi jego okolice. Rewolucja cybernetyczna – szczególnie związana z nią miniaturyzacja – okazała się niewdzięcznym wyzwaniem najpierw dla sowieckich, a potem dla rosyjskich naukowców. W zbrojeniówce poradzono sobie z tym w duchu niegodnym oficjalnej ideologii – już na etapie projektowym przewidując zastosowanie zachodniej elektroniki. Pozyskiwanej na różne sposoby, od oficjalnych zakupów po nielegalne transakcje, które z nadejściem reżimu sankcyjnego – „delikatnego” po roku 2014 i ostrego po zeszłorocznej inwazji – stały się dużo trudniejsze do przeprowadzenia. A bez „elektro-wsadu” ani rusz. Abstrahując na moment od tematu rakiet – wielu obserwatorów zastanawia się, gdzie są rosyjskie superczołgi T-14 Armata. Ano nie ma ich, bo brak nowoczesnej optoelektroniki (oraz problemy z napędem, który „od zawsze” pozostaje piętą achillesową radzieckiej/rosyjskiej technologii) właściwie przesądził o niepowodzeniu programu.

+++++

Wróćmy do precyzyjnej amunicji – w lutym 2022 roku potencjał ZSU wykazywał cechy głębokiej asymetrii w zestawieniu z możliwościami armii rosyjskiej, szczególnie jeśli chodzi o systemy dalekiego zasięgu. Ukraińcy nadal nie posiadają pocisków zdolnych razić cele na odległość 2000-2500 km. Nie dysponują również nośnikami – bombowce strategiczne, które znajdowały się na terenie Ukrainy po rozpadzie ZSRR, zostały w latach 90. XX wieku przekazane Moskwie. Ma więc Kijów problem z adekwatną odpowiedzią na raketowe ataki, częściowo

tylko niwelując dysproporcje sięganiem po drony latające na odległość do 1000 km. Dużo lepiej – patrząc z ukraińskiej perspektywy – mają się sprawy na bliższych dystansach. Wprowadzenie na obszar działań bojowych wiosną 2022 roku amerykańskich wyrzutni Himars znacząco pogorszyło sytuację Rosjan. Dobrze ilustrują ów stan rzeczy wydarzenia z 1 stycznia 2023 roku. Wówczas to, dwie minuty po północy, kilka rakiet uderzyło w zajmowany przez żołnierzy kompleks szkolny w okupowanej Makiejewce pod Donieckiem. Zginęło lub zostało rannych od 400 do 600 wojskowych. Pojedynczy atak, przeprowadzony bez szkód dla okolicznej infrastruktury i ludności, wyeliminował z walki ekwiwalent batalionu – to jeden z lepszych przykładów efektywności zachodniej broni.

Ale himarsy mają dużo większe zasługi. Ich zasięg (do 80 km) i przede wszystkim precyzja zmusiły Rosjan do porzucenia idei dużych składów, tworzonych w miejscach rozlokowania artylerii bądź w niedużej odległości od stanowisk bojowych. Od lata 2022 roku takie magazyny znajdują się zwykle 100 km od frontu. Daleko? Dość, by chronić się przed rakietami, i wystarczająco, żeby sprawić nie lada kłopot. Rosyjska logistyka bazuje na transporcie kolejowym, co wraz z innymi słabościami – przede wszystkim niedostateczną liczbą aut i opartym na sile ludzkich rąk załadunkiem – skutkuje „zjawiskiem zasięgu ciężarówki”. Maksymalnie 100 km od najbliższej linii kolejowej – tyle wynosi odległość pozwalająca na efektywne działania rosyjskich jednostek wojskowych. Im ten dystans się zwiększa, tym bardziej szwankują dostawy. I głównie stąd bierze się lęk Moskwy przed himarsami o zasięgu do 300 km – rosyjscy politycy i generałowie boją się nie tyle ataków na cele w Rosji, ile większego paraliżu logistyki. W czerwcu 2023 roku Ukraińcy takich rakiet z USA jeszcze nie otrzymali, dostali za to inne precyzyjne systemy, jak choćby brytyjskie pociski Storm Shadow. Gdy piszę ów esej, nie znamy zbyt wielu przykładów użycia tej broni, ale jasne jest, że jej liczne zastosowanie zmusi rosyjską logistykę do kolejnego „odskoku”.

+++++

Tymczasem bez sprawnej logistyki ani rusz. Niezależnie od tego, jak wyszkolona i wyposażona będzie armia, pozbawiona na czas amunicji, paliwa, jedzenia i zaplecza medycznego, w najlepszym razie nie zwycięży, w najgorszym poniesie porażkę. To zagadnienie na osobny artykuł, ale warto Czytelnikowi zobrazować choć trochę skalę wyzwania. Na przykład skutek wysokiej energochłonności radzieckiego/rosyjskiego sprzętu, będącego podstawą dla obu armii walczących w Ukrainie. Godzina lotu śmigłowca Mi-24 wymaga tony paliwa. Przy przyzwoitym zużyciu i średnim przebiegu starczyłoby na prawie rok jeżdżenia cywilnym autem. „Weźmy typowy rosyjski batalion czołgów – 31 T-72B czy T-90, trzy ciągniki ewakuacyjne, kilka samochodów osobowo-terenowych, 30 ciężarówek, pluton przeciwlotniczy, pluton łączności”, pisze Michał Fiszer, niegdyś wojskowy pilot, dziś wzięty analityk. Na pytanie, ile paliwa zużywa czołg, odpowiada: 800 litrów na 100 km. Co dla 34 czołgów i ciągników ewakuacyjnych na tym samym podwoziu daje 27 tys. litrów. Z uwzględnieniem innych pojazdów – 35 tys. litrów. „Czyli siedem typowych wojskowych cystern samochodowych dla jednego batalionu na 100 km marszu”, konkluduje Fiszer, autor wydanej razem z synem Jackiem książki pt. „Wojna w Ukrainie. Od napaści do kontrofensywy”. A przecież czołg zużywa paliwo i na postoju – około 20-30 litrów na godzinę. By mógł w razie potrzeby strzelać, agregat zasilający elektrykę i hydraulikę musi pozostać na chodzie. „Dla jednej brygady mającej cztery bataliony, dywizjon artylerii i kilka samodzielnych kompanii robi się z tego już 200 tys. litrów na każde 100 km lub 5 tys. litrów na każdą godzinę postoju. A to 40 wojskowych cystern paliwowych po 5 tys. litrów”, czytamy. Rosjanie utrzymują w Ukrainie średnio około 800 czołgów, ale był czas (na przełomie lutego i marca 2022 roku), kiedy kontyngent dysponował tysiącem pięciuset maszyn.

Amunicja? Na przełomie maja i czerwca 2022 roku Rosjanie zużywali dziennie od 40 do 60 tys. pocisków artyleryjskich. Uśredniając,

1,5 mln na miesiąc, 3 mln we wspomnianym okresie. Wcześniej wojna nie miała tak artyleryjskiego charakteru, rosyjskie wielkokalibrowe lufy wyrzucały nie więcej niż 10 tys. pocisków. W lipcu zużycie spadło do poziomu z zimy i nie przebiło tego pułapu do końca grudnia, co znaczy, że w pierwszym kalendarzowym roku inwazji Rosjanie wystrzelili 5,5 mln sztuk amunicji artyleryjskiej. Tymczasem nabój do haubiccy waży 60 kg (45 pocisk i 15 ładunek miotający). „A co z amunicją dla czołgów, piechoty i jej wozów bojowych, co z raketami przeciwpancernymi, granatami do moździerzy?”, pytają retorycznie Fiszerowie. Przy tak wysokiej intensywności ognia nie sposób zachować ciągłości bez tworzenia podręcznych zapasów. „A jak przechowywać amunicję w polowym składzie? To nie ziemniaki, jak zawilgotnieje, będzie do niczego. A zabezpieczenie przeciwpożarowe, ochrona przed dywersją? To mnóstwo organizacji, sprawności, zaradności”, przekonują autorzy „Wojny w Ukrainie”. Owe cechy – okazuje się – nie są najmocniejszą stroną agresorów. Ukraińcom w zakresie logistyki również można sporo zarzucić. Z wieloma słabościami nadal się borykają, nie będą więc ich wymieniał. Tym niemniej posiadają nad Rosjanami zasadniczą przewagę – mają bliżej. Uważana za atut rozległość Rosji – w sytuacji, gdy trzeba sięgać po zapasy schomikowane daleko za Uralem – srodze jej doskwiera.

+++++

Skoro pojawiły się spektakularne dane o zużyciu, wspomnieć należy, że dzięki Zachodowi – który zreorganizował i powiększył produkcję amunicji – ZSU nie zmagają się już z problemami z pierwszych miesięcy inwazji. Rosjanie strzelali wtedy nawet dziesięć razy częściej, w czym tkwiła tajemnica ich początkowych sukcesów na Donbasie. Dziś większa intensywność ognia nie jest stałą cechą żadnej z armii – ma wymiar taktyczny, związany z celami walczących stron na konkretnym odcinku frontu. Przy tej okazji warto wrócić do wątku precyzji. Klasyczna

amunicja artyleryjska ma skuteczność liczoną w promilach. Milion wystrzelonych pocisków – z zastrzeżeniem, że mówimy o terenie przygotowanym do obrony, nie zaś o „gołym” placu pełnym ludzi – zrani i zabije co najwyżej kilka tysięcy żołnierzy. Co podkreślam, pamiętając złośliwe reakcje (pro)rosyjskich propagandystów, gdy latem 2022 roku po raz pierwszy wysłano do Ukrainy pociski Excalibur. Ta z wyglądu zwyczajna amunicja leci na odległość do 40 km. Wyposażone w GPS excalibury potrafią uderzyć w cel z dokładnością do dwóch metrów. Są odporne na zakłócenia, przewidziane do operowania w każdych warunkach pogodowych. 900 sztuk zamówionych dla Ukrainy uznano za iluzoryczne, godne wyśmiania wsparcie. Tymczasem to 900 niemal pewnych trafień, gdy pojedyncze oznacza zniszczenie dowolnego wozu z całą załogą. Excalibur jest dziesięć razy droższy od zwykłego pocisku – i setki razy bardziej efektywny. Rosjanie nie mają „analogu”, ale i bez excaliburów przebrojona w zachodnie armaty ukraińska artyleria bije dalej i celniej.

+++++

Jest też inna jakość demolująca rosyjską armię. Nawet w najlepszym składzie osobowym (przed dotkliwymi stratami w Ukrainie) pozostawała ona mocno zakorzeniona we wschodniej tradycji wojskowej. Dla której charakterystyczna jest silnie zhierarchizowana struktura, z kompetencjami delegowanymi maksymalnie ku górze. Średni i niższy szczebel dowodzenia niewiele może, o wszystkim decyduje wyższe dowództwo. Model się sprawdza, jeśli najwyżsi rangą oficerowie dysponują technicznymi możliwościami zarządzania polem walki. Gdy ich zabraknie, bądź zabraknie dowódców, do głosu dochodzą negatywne skutki treningu kulturowego, osadzonego na braku poczucia sprawczości i odpowiedzialności – nieumiejętność podejmowania inicjatywy i (jak mawiają w Wojsku Polskim) „a-c..j-mnie-to-obchodzizm”. „Nie wiem”, „nie potrafię”, wreszcie „boję się”; strach jest bowiem wzmacniany

doświadczeniem, w którym zbytnia samodzielność niosła ryzyko kary. Równowaga w pionowo zorientowanych systemach zarządzania opiera się na wybitnie nierównomiernym dostępie do wiedzy i władzy. Ktoś z nieswojego, niższego poziomu traktowany jest jako intruz/uzurpator. W wojsku, gdzie system kar – oficjalnych i nieoficjalnych – jest bardziej dotkliwy niż w cywilu, „panoszenie się” to niebezpieczny proceder, zwłaszcza w obliczu porażki. W praktyce pozbawione dowództwa jednostki nie są w stanie podjąć sensownych działań. Mimo informacji o nacierającym przeciwniku, ani się nie wycofują, ani nie przygotowują do obrony; żołnierze czekają, aż ktoś wreszcie wyda im jakiś rozkaz. Gdy ten nie nadchodzi, za to pojawia się wróg, opcje w zasadzie są już tylko trzy: można wiać, poddać się albo podjąć nierówną z powodu nieprzygotowania walkę (oczywiście możliwy jest scenariusz realizujący w różnym stopniu wszystkie trzy postawy). Gdy wybór pada na walkę, jakkolwiek często nie ma w tym heroizmu, a raczej fatalizm, *post factum* wojenna propaganda nadaje takim wydarzeniom hurrapatriotyczny charakter. Podręcznikowym przykładem ilustrującym opisany porządek było zachowanie rosyjskiej armii na Charkowszczyźnie, podczas pierwszej ukraińskiej kontrofensywy. W okamgnieniu wojsko zmieniło się w motłoch, który w panice nawiał do Rosji. A walczących kreowano potem na bohaterów, którzy umożliwili „zorganizowany odwrót”.

Armia ukraińska, mimo wspólnych organizacyjnych korzeni z rosyjską, po 2014 roku zaczęła rozwód z wojskowym „wschodniactwem”. Zmiany mentalności to zwykle długotrwały proces, ale w tym przypadku obserwujemy coś na wzór turboprzyspieszenia. W transformacji wojska niebagatelną rolę odegrało rosyjskie zagrożenie – to ono wymusiło przejście na bardziej efektywny, zachodni model zarządzania i dowodzenia armią. Dzięki niemu możliwe stało się częściowe zniwelowanie przewagi technicznej Rosjan, co przed 24 lutego 2022 roku uchodziło za pusty frazes, a obecnie jest hasłem po korek wypełnionym treścią. Widać bowiem jak na dłoni, że delegowanie kompetencji i odpowiedzialności w dół – przede wszystkim na barki podoficerów i oficerów niższego szczebla,

ale i do poziomu zwykłego żołnierza – skutkuje większą żywotnością oddziałów (nie idą tak łatwo w rozsypkę), sprzyja taktycznej inicjatywie, generując korzystne sytuacje, także wcześniej nie do przewidzenia. Ukraińskie chodzenie za ciosem – które z uznaniem obserwowaliśmy we wrześniu 2022 roku podczas charkowskiej kontrofensywy – było również sumą decyzji dowódców plutonów, kompanii czy batalionów, którzy nie bali się wykorzystać otwierających się możliwości. Inna sprawa, że pomagała im nieosiągalna dla armii rosyjskiej świadomość sytuacyjna. Wydolniejsza łączność i sieciocentryczność pozwalająca na bieżącą wymianę informacji między nacierającymi jednostkami i dowództwem ułatwiała konsultowanie i podejmowanie decyzji.

+++++

Na gruncie zachodniej tradycji wojskowej elementem kanonu stało się przekonanie o niewalczących „wodzach”. W armii rosyjskiej (wcześniej sowieckiej) sprawy mają się inaczej. Pogarda dla żołnierskiego życia nie dotyczy tylko szeregowych, a wyjątkowe kompetencje wysokich szarż nie dają immunitetu na nietykalność. Dość wspomnieć absurdalne czystki w korpusie oficerskim z końca lat 30. XX wieku, które tak brutalnie osłabiły Armię Czerwoną w przededniu starcia z Wehrmachtem. „Ludzi u nas mnóstwo” – mawiał Stalin, mając na myśli także kandydatów na pułkowników i generałów. Trzeba było milionów ofiar, by ilość przerodziła się w jakość, co i tak nie przyniosło zmiany paradygmatu, bo na czele armii w 1945 roku stał Gieorgij Żukow, bezwzględny wobec podwładnych niezależnie od stopnia. Na to wszystko nakłada się istotny rys kulturowy – zakorzenione przekonanie o wadze osobistego przykładu. Podrywanie żołnierzy do boju wymaga wielkiej odwagi – to kwestia bezdyskusyjna – lecz wchodząc głębiej, dostrzeżemy mniej chwalebne składowe tej postawy. Rosyjskiemu wojsku często brakowało motywacji do narażania życia. Miliony czerwonoarmistów, które poddały się Niemcom w 1941 roku, nie zrobiły tego wyłącznie ze

strachu, ale też z niechęci do walki za państwo i ustrój, które kojarzyły im się z terrorem, wyzyskiem, biedą, śmiercią i powszechną nieufnością. Dopiero gdy Niemcy okazali się nie lepsi, przysłowiowy „Iwan” stał się dla nich śmiertelnym zagrożeniem.

Obecnie naczelną składową ideologii państwa rosyjskiego jest imperializm, rozumiany jako odbudowa wpływów. I jakkolwiek jest to intelektualnie atrakcyjna oferta dla Rosjan, chłopcy w mundurach nie bardzo garną się, by za coś takiego umierać. Zwłaszcza w Ukrainie, z którą związki kulturowe nadal pozostają bliskie. Moskwa każe żołnierzom wierzyć, że walczą z faszystami, niczym ich dziadkowie i pradziadkowie. Tymczasem wojskowi trafiają na Donbas i widzą, że to świat podobny do tego, jaki znają. Gdzie trudno poczuć się tak wyobcowanym kulturowo, jak czuł się wspomniany „Iwan”, idąc przez Polskę i rdzennie niemieckie ziemie. Tamto wyobcowanie, ci „ludzie z innej planety” miały istotny wpływ na mobilizowanie „radzieckich” do walki. Dziś – mimo zabiegów propagandy, która już bez pardonu dehumanizuje Ukraińców – ów czynnik bez wątpienia sprzyja popełnianiu zbrodni, ale niekoniecznie zagrzewa do boju. Stąd kuszenie ludzi pieniędzmi (bardzo wysokie jak na rosyjskie standardy żołdy), stąd narracja o śmiertelnym zagrożeniu dla Rosji ze strony Zachodu. I mimo tych zabiegów żołnierz rosyjski nadal nie wydaje się szczególnie zmotywowany. W efekcie na pierwszej linii co rusz pojawiają się „wodzowie”, by nakłonić podwładnych do działania. Przykład osobistej odwagi, ale i zastraszanie, tak istotne w armii ułożonej na radzieckich wzorcach, mają działać niczym kopniak. Czasem działają, często nie – nie ta kwestia jest teraz najistotniejsza. Rzecz w tym, że armia rosyjska notuje nieprawdopodobne straty w gronie kadry dowódczej. Kilkunastu generałów, dziesiątki pułkowników, setki majorów i kapitanów – pośród przyczyn rosyjskich niepowodzeń w Ukrainie istotne znaczenie ma również ta swoista autodekapitacja.

+++++

Przyjrzyjmy się na koniec ukraińskim motywacjom, współtworzą one bowiem istotną jakościową przewagę ZSU nad siłami zbrojnymi Rosji. Ile zarabiają wojskowi? Realnie, w przypadku zwykłego strzelca czasowo angażowanego w operacje bojowe, 80 tys. hrywien (nieco ponad 10 tys. zł), co z pensją bazową daje mniej więcej 12,5 tys. zł. Dużo? Biorąc pod uwagę ukraińskie realia – owszem. Skoro jednak o realiach mowa – intensywność wojny w Ukrainie porównywalna jest z tym, co działo się w Wietnamie i Korei. Prawdopodobieństwo śmierci lub zranienia jest wysokie – do tej pory poległ bądź odniósł rany co siódmy członek personelu sił zbrojnych Ukrainy. Czy są pieniądze, które wynagrodzą takie ryzyko? W armii służy mnóstwo ochotników, lecz zasadniczo opiera się ona na obowiązkowym poborze, co warto podkreślić w odniesieniu do zarzutów „walki za kasę” (i w Polsce formułują je środowiska niechętne Ukraińcom). Istnieją kryteria zwolnienia, jak choćby posiadanie trójki dzieci, tym niemniej do wojska idą wszyscy, od profesora po robotnika. Tak duży przekrój społeczny oznacza różne życiowe doświadczenia, także te z państwem, którego percepcja zależy od subiektywnych czynników, na przykład poczucia życiowego spełnienia. Łatwiej bronić tego, co się ceni, niż czegoś, co rozczarowuje. Ukraińcy po 1991 roku mieli masę powodów, by czuć rozgoryczenie, mimo to po 24 lutego 2022 roku nie zawiedli. Bo jakkolwiek górnolotnie to zabrzmia, biją się również o marzenia. Nie walczą dla łupiących obywateli i obojętnych policjantów, dla złodziejskich oligarchów, ale o ideę, nową Ukrainę. Biją się z sentymentu dla konkretnych miejsc, które trzeba chronić przed zakusami agresora. Ale i o konkret. Przed inwazją jedna trzecia Ukraińców wykazywała sympatie prorosyjskie, dziś jest to kilka procent. Brutalność i barbarzyństwo cechujące Rosjan okazały się ważkim czynnikiem mobilizującym Ukraińców. Po Buczy, Irpieniu czy Iziumie stało się jasne, czym byłaby rosyjska okupacja.

Żaden żołnierz nie chciałby jej dla bliskich czy dla siebie. Zatem „albo oni, albo my”, trzeciej drogi nie ma...

+++++

Co dalej? Mógłbym napisać kolejny tekst, dając upust intuicji i snując przewidywania. Nie zrobię tego nie tylko z braku miejsca. Kończę ów artykuł dzień po zniszczeniu zapory w Nowej Kachowce, gdy media załazy już fotorelacje z terenów dotkniętych kataklizmem. Wiem, że na zniszczonym przez wodę obszarze mieszkało znacznie mniej osób niż w normalnych, przedwojennych czasach. Że powódź dotknęła ledwie ułamek ukraińskiego społeczeństwa. Ale przeglądając zdjęcia (co dla mnie szczególnie istotne, z miejsc, w których miałem okazję bywać), czułem przejmujący żal. „Ile ten znękany naród jeszcze wytrzyma?“, zastanawiałem się, wywodząc z tego pytania inne refleksje. Na przykład taką, że w ostatecznym rozrachunku o przetrwaniu Ukrainy nie zadecydują kwestie militarne. Siła i jakość ukraińskich sił zbrojnych – jakkolwiek kluczowa – nie będzie tak ważna jak determinacja stojących za armią cywilów. Z perspektywy zasobnego Kijowa – dotkniętego i strauumatyzowanego rosyjskimi atakami, ale w nieporównywalnie mniejszym stopniu narażonego na wojnę niż wschód kraju – sprawy mogą wyglądać inaczej. Nadzieje mogą być większe. Upór silniejszy. Tylko co mają myśleć i robić mieszkańcy Chersońszczyzny – zubożali na długo przed inwazją, w jej trakcie napadnięci i brutalnie okupowani, wyzwoleni, ale wciąż żyjący w cieniu wojny, a potem „dobici” wielką falą? Czy cena, jaką płacą, nie okaże się nie do podźwignięcia? Czy za jakiś czas cena, jaką płaci cała ludność Ukrainy, nie okaże się zbyt wielka? Pękną, nie pękną? W odpowiedziach na te pytania kryje się los naszego sąsiada...

Kraków, maj – czerwiec 2023 roku



Informacja o autorach

Piotr Andrusieczko – etnolog z wykształcenia, dziennikarz. Od 2013 roku relacjonuje dla polskich mediów wydarzenia w Ukrainie: był na kijowskim Majdanie, na Krymie i Donbasie. Od kwietnia 2014 roku jest korespondentem „Gazety Wyborczej” w Ukrainie. Redaktor naczelny „Ukraińskiego Żurnału”. Mieszka w Kijowie. Od 24 lutego 2022 roku relacjonuje rosyjską agresję w Ukrainie na łamach „Gazety Wyborczej”, „Nowej Europy Wschodniej” oraz w radiu Tok.fm. W 2014 roku otrzymał tytuł Dziennikarza Roku.

Paweł Bobołowicz – reporter, absolwent Wydziału Politologii UMCS w Lublinie. Od ponad 20 lat zajmuje się stosunkami polsko-ukraińskimi. Od 2013 roku jest korespondentem Mediów Wnet na Ukrainie, szef redakcji wschodniej Radia Wnet. Współinicjator akcji „Rok 1920 – Pamięć w czasach zarazy”. W 2014 roku otrzymał wyróżnienie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich za relacje z Majdanu, na którym był obecny od początku wydarzeń. W 2015 roku nagrodzony przez SDP nagrodą im. K. Dziewanowskiego.

Eliza Dzwonkiewicz – od 2019 roku Konsul Generalna RP we Lwowie, ekspertka ds. Europy Wschodniej (absolwentka ukrainistyki UW i Studium Europy Wschodniej), doświadczona menadżerka, kierowała m.in. Narodowym Centrum Kultury (2016-2017), przez wiele lat związana także z sektorem organizacji pozarządowych, działaczka harcerstwa.

Marcin Ogdowski – pisarz, dziennikarz, bloger, były korespondent wojenny (pracował m.in. w Iraku, Afganistanie i Ukrainie). Autor wielu książek, m.in. „Z Afganistanu.pl – alfabet polskiej misji”, „(Nie) potrzebni”, „(Dez)informacja”, „Stan wyjątkowy”. Obecnie niezależny publicysta i analityk militarny, autor bloga: bezkamufłazu.pl.

Mikołaj Susujew – niezależny publicysta i analityk, jak sam o sobie mówi: „pochodzący z pogranicza dwóch cywilizacji”. Urodził się i dorastał na Donbasie. Wiele podróżował, ostatecznie osiadał w Polsce. Swoją wiedzę i doświadczenie wykorzystuje, by „przybliżyć sobie nawzajem obie cywilizacje”. Pisze głównie o Ukrainie, Rosji, Donbasie i o trwającej od ponad 9 lat wojnie, która dotknęła bezpośrednio jego rodzinę.

Zdarza się, że słyszę głos oburzenia: „tyle Ukraińcom pomagamy i to za darmo!”. W takiej postawie umyka to, co najważniejsze – Ukraina walczy dziś jako przedmurze Zachodu, walczy za nas. Broni nie dostaje do zabawy, lecz by bronić własnego terytorium i skutecznie ograniczać możliwości ekspansywne Rosji. Ceną za broń i każdą inną formę pomocy jest ukraińska krew. To nie górnolotne stwierdzenie, to brutalna prawda, poświadczona grobami ukraińskich żołnierzy w całej Ukrainie. Stoją przy nich maszty z ukraińskimi flagami dumnie mówiące: tu spoczywa żołnierz. Ale tej dumie towarzyszą łzy tysięcy matek, ojców, dzieci, bliskich. Nie znamy prawdziwej liczby zabitych ukraińskich żołnierzy, rannych, którzy do końca życia pozostaną kalekami, liczby jeńców, którzy każdego dnia przechodzą katusze w rosyjskich więzieniach, koloniach karnych, obozach, piwnicach. Za każdym razem, gdy słyszę podziękowania kierowane w moją stronę przez ukraińskich wojskowych czy cywilów, mam poczucie, że to przecież my jesteśmy Ukraińcom winni wdzięczność, że dźwigają to brzemień, że my i nasze dzieci nie musimy walczyć.

P. Bobołowicz, *O polskiej pomocy dla walczącej Ukrainy*, s. 91-92